NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370 50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp. na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 30 Marek.**

Rok XVIII. Kraków, 2 lipca 1921. Nr. 27.

Morderstwo czy samobójstwo?...



Zwłoki nieznanej kobiety, znalezione w dniu 20 czerwca b. r. w Bronowicach Wielkich pod Krakowem

Od Wydawnictwa.

Z prawdziwą przykrością zwracamy się zawsze do P. T. Czytelników, ilekroć zajdzie potrzeba zawiadomić ich o nowej podwyżce ceny prenumeraty za nasze pismo. Przed niedawnym czasem zmuszeni byliśmy podwyższyć ją na dwadzieścia marek za numer, dziś stajemy wobec konieczności dalszej podwyżki, spowodowanej nagłym a niczem nie uzasadnionym wzrostem cen papieru o sto procent, nowym podrożeniem cynku, farb i chemikaliów oraz podniesieniem wynagrodzeń personalu drukarni.

Odtąd numer „*Nowości Illustrowanych*“ kosztować będzie **trzydzieści marek**, w następstwie tego i prenumerata kwartalna uledz musi zwyżce i wynosić będzie:

Kwartalnie . . . 370·50 Mk.
Półrocznie . . . . 741·— „
Rocznie . . . . . 1482·— „

Podwyższenie to, na pozór dość znaczne, nie jest obliczone bynajmniej na jakieś zyski, ma służyć jedynie do pokrycia wzrosłych niespodziewanie kosztów Wydawnictwa. Cena ta pozwoli zaledwie na opędzenie wydatków, ograniczanych już z konieczności do minimum, a jest w gruncie rzeczy niezbyt wygórowaną, jeśli się zważy, że numer „*Tygodnika Illustrowanego*“ kosztuje obecnie sześćdziesiąt marek, a za poniedziałkowe wydanie pism codziennych obejmujących pół arkusza małego formatu i nie zawierających tak kosztownych dziś illustracyi płacić się musi u nas ośm marek w Warszawie zaś piętnaście!

Sądzimy, że ogół P. T. Czytelników przyjmie do wiadomości tę nową podwyżkę i nie odmówi nam nadal swego poparcia, gdyż jest ona podyktowaną jedynie koniecznością, wywołaną nagłym, a bardzo znacznym wzrostem wydatków

Morderstwo czy samobójstwo?...

(Do illustracyi tytułowej).

Wojna zmieniła tak gruntownie nasze stosunki, że ktoś, kto lat temu bodaj jeszcze dziesięć wstecz opuścił ten świat, gdyby mu się dziś zdarzyło znaleźć znowu pomiędzy nami, stanowczo nie poznałby nawet, że to ten sam Kraków, który pamiętał z przed nie tak dawna. A zmiana ta nie wyszła bynajmniej na lepsze, przeciwnie, świadczy aż nazbyt dobitnie, że wojna wpłynęła w każdym kierunku na pogorszenie stosunków. I dawniej wydarzały się u nas senzacyjne wypadki, zajmujące żywo opinię publiczną i stanowiące temat rozmów na czas długi, były jednak bardzo rzadkie, gdy natomiast dzisiaj niemal każdy dzień przynosi jakąś senzacyę. Pisze się też o nich i mówi, ale bardzo krótko i lakonicznie, jak gdyby uważało się je za coś zwykłego, będącego nieodzownem następstwem skutków wojny.

W dniu 20 czerwca b. r. poruszyła niemo żywiej opinię publiczną i wprawiła w przyspieszony ruch „pocztę pantoflową“ wiadomość, iż na polach Bronowic Wielkich znaleziono wczesnym rankiem w przydrożnym rowie zwłoki młodej, przystojnej kobiety. Pierwsze wieści, które powtórzyła i część naszej prasy, kazały przypuszczać, że się ma tutaj do czynienia z morderstwem, za czem przemawiać zaczęły ślady gwałtów, dokonanych na ciele denatki, przebąkiwano nawet, że nie jest wykluczonem, iż ofiarę zgładzono gdzieindziej, zwłoki jej przewieziono automobilem i tutaj porzucono celem zatarcia śladów.

Śledztwo wdrożone w tej sprawie przez policyę i bawiącą w Bronowicach w sprawie innego morderstwa, dokonanego na weselu, komisyę sądowo-lekarską — stwierdziło, co następuje:

Na polach Bronowic Wielkich znaleziono przy ścieżce polnej, prowadzącej z Bronowic ku Toniom, zwłoki kobiety około 20 lat liczącej, blondyny, o krótkich obciętych włosach, z czarną opaską na czole, bez kapelusza, w popielatym płaszczu, w czarnej sukni reformowej, półbucikach, pończochach ażurowych koloru bronzowego, na rękach w białych rękawiczkach. Obok zwłok leżał neceser, przy nim zaś biała czapeczka i chusteczka.

Denatka leżała pod drzewem obok ścieżki polnej na wznak, mając rozpięty płaszcz, z lewą ręką sztywnie wyprężoną, a prawą zgiętą na lewej piersi.

Na ciele nie było śladów szamotań, jedynie w okolicy serca widoczna była mała ranka postrzałowa od kuli rewolwerowej małego kalibru. Wszystkie te szczegóły wskazują niezbicie na samobójstwo i stwierdzają, że strzał nastąpił po przyłożeniu bezpośredniu lufy do ciała. Rewolwer zapewne skradł jakiś przypadkowy przechodzeń.

Identyczności ofiary nie sprawdzono.

Zestawienie krążących po mieście wersyi z wynikami śledztwa nie zdołało przekonać opinii, czy się ma do czynienia z morderstwem czy samobójstwem. Zagadkowym zwłaszcza, o ile chodziłoby o samobójstwo, staje się brak owego rewolweru, którym denatka miała sobie rzekomo zadać śmierć.

W dawniejszych czasach wypadek ten byłby dotąd żywo komentowany, w obecnych przeszło się nad nim do porządku dziennego. Zajmuje jedynie sędziego śledczego i policyę, starających się energicznie o wyświetlenie tajemniczej sprawy.

Powrót 27 p. p. do Częstochowy.

Podawaliśmy już w naszem piśmie ilustracye, przedstawiające powitanie poszczególnych formacyi wojskowych, wracających po wojennych trudach do swych właściwych garnizonów. Witała Warszawa, witał Kraków i Lwów „swoje dzieci“, obecnie przychodzi kolej na Częstochowę. Tak jak tam, tak i tu zgotowano powracającym bohaterom owacyjne przyjęcie, aby w ten sposob wyrazić im podziw za ich męstwo, uznanie i z serca płynącą wdzięczność, że krwią swą i wysiłkiem nie dopuścili do pohańbienia imienia polskiego. Witał ich też cały naród, bez różnicy zapatrywań politycznych, dumny z tego, że ma takich synów, w których widzi rękojmię swej wielkości i znaczenia na przyszłość. A żołnierz polski przyjmował te dowody uznania z uśmiechem, jak gdyby chciał przez to powiedzieć:

— Zrobiłem tylko to, co było mym obowiązkiem!

Dzień powrotu 27 p. p. stał się dla Częstochowy prawdziwem świętem. W uroczystem powitaniu swych zuchów wzięły udział wszystkie stany, widziało się inteligencyę miejscową i okoliczną, mieszczaństwo, robotników i wieśniaków. Na wkraczające w mury miasta dzielne szeregi spoglądano z dumą i z rozrzewnieniem, częstochowski pułk okrył bowiem swój sztandar w ciągu długich, a ciężkich przeżyć na froncie bolszewickim i pod Lwowem liśćmi wawrzynu, jakich mógłby mu śmiało każdy inny pozazdrościć. I podobnie jak wówczas, gdy odchodząc z rodzinnego miasta, szukał siły i pomocy do godnego spełnienia swych obowiązków u stóp tronu Jasnogórskiej Królowej, tak i teraz przedewszystkiem tam pospieszył, aby Jej podziękować za szczęśliwy powrót.



Powrót 27 p. p. do Częstochowy: Sztab pułku z jenerałem Pogorzelskim na czele.





Przedstawiciele wojskowości, władz i obywatelstwa, oczekujący na przybycie pułku. **Powrót 27 p. p. do Częstochowy:** Wmarsz pułku do miasta.

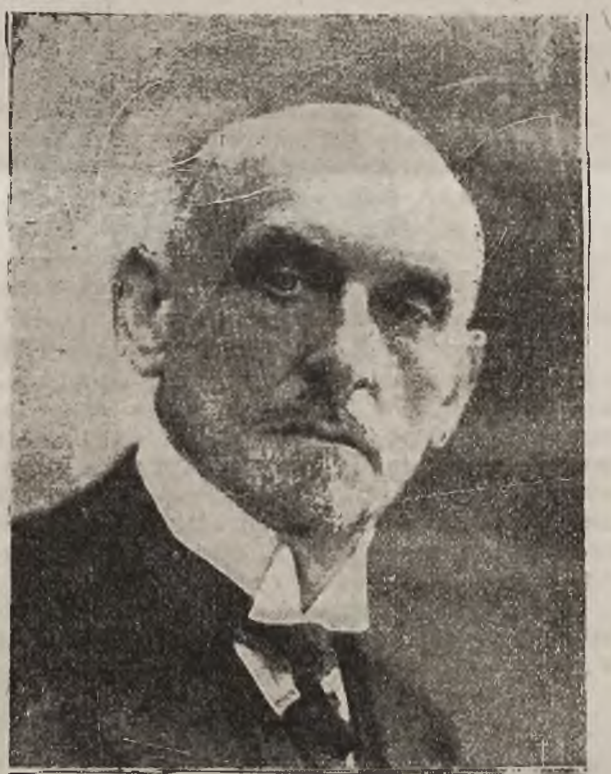
„Częstochowskie dzieci" powróciły do rodzinnego grodu na tak słusznie się im należący wypoczynek po ciężkich trudach żołnierskiego życia, skarbiąc sobie w ten sposób ich miłość i zaufanie. Po uroczystem dziękczynnym nabożeństwie odbyła się defilada przed jenerałem Pogorzelskim, korpusem oficerskim i zaproszonymi gośćmi, następnie zaś uroczyste powitanie jenerała wraz z oficerami pułku w sali Rady miejskiej przez prezydenta miasta dra Marczewskiego, starostę powiatowego p. Kazimierza Kühna, przedstawicieli władz miejskich i rządowych, oraz licznie zebranego obywatelstwa miejscowego i okolicznego. W odpowiedzi dziękowali oficerowie gorąco za zgotowanie im tak serdecznego przyjęcia i podnosili przy tej sposobności zasługi jenerała Pogorzelskiego, który świecił wszystkim przykładem, znajdując się zawsze pierwszy na najbardziej zagrożonych placówkach i prowadząc osobiście swych żołnierzy do ataku z prawdziwą pogardą śmierci, czem dodawał wszystkim otuchy i zachęty do tem gorliwszego spełniania swych obowiązków. Aby bodaj w słaby sposób ujawnić swe uczucia, jakie żywią dla swego dowódcy, a wraz z nimi i cały pułk, unieśli go w górę i obnosili dłuższy czas na rękach wśród entuzyastycznych oklasków i okrzyków zgromadzonych.

Że Częstochowiacy tak się dzielnie wywiązali na froncie ze swego zadania, częściowa w tem zasługa komendanta batalionu zapasowego tegoż pułku, majora Lawdańskiego, oraz jego zastępcy kapitana Warmuzińskiego, którzy dokładali wszelkich starań nie tylko w kierunku należytego wojskowego wykształcenia nowozaciężnych, ale też i duchowego ich wykształcenia i wpojenia w nich poczucia, jak należy spełniać obowiązki obywatela-żołnierza. W ten sposób pułk zasilany był stale przez jednostki odpowiadające w zupełności pojęciom nowoczesnego żołnierza.

Drugi rok na tułaczce.

Sprawa Śląska Cieszyńskiego już rzekomo definitywnie załatwiona, międzynarodowa komisya prostuje granicę między Polską a Czechami, bije słupy graniczne, a Rada Najwyższa cieszy się w duchu, że tak łatwo udało się jej wywiązać ze swego zadania, bo przecież Czeci i Polacy otrzymali nie tylko po kawałku Śląska, ale nawet i po kawałku Cieszyna!.. A tu tymczasem krwawi się serce polskie, gdy się słyszy, czyta i patrzy na te męki i katusze, jakie zmuszony jest znosić ten lud nieszczęśliwy za to tylko, że przyznaje się do narodowości polskiej i z tradycyami ojców nie chce zerwać. Lwia część Śląska, zamieszkałego przez Polaków, dostała się w ręce czeskie, jakiego zaś losu tam doznaje, wie każdy, kto czytuje wiadomości nadchodzące z tamtej strony granicy. Brat-Czech wobec Polaka okazał się hakatystą, nie ustępującym w niczem pruskiemu grabieżcy, przewyższa go nawet w swych dążeniach w czechizowaniu. I nic też dziwnego, że część nieszczęśliwych uchodźców z Śląska Cieszyńskiego, którzy w najgorętszym czasie opuścić musieli rodzinną ziemię i uciekać przed gwałtem czeskim, nie ma bynajmniej ochoty do powrotu pod swój dach, wiedząc o tem, co ją tam czeka.

Ilustracyą usposobienia tych nieszczęśliwych wygnańców, zmuszonych zdala od rodzinnej strzechy pędzić żywot tułaczy, jest list, nadesłany nam przez jednego z ich grona wraz z fotografią dzieci szkolnych z baraków dla uchodźców w Oświęcimiu.



Zgon dwu wybitnych obywateli miasta Krakowa: S. p. dr. Henryk Szarski, były I wiceprezydent miasta Krakowa.

Oto jego treść:

„Rana cieszyńska jeszcze niezabliźniona. W barakach w Oświęcimiu przebywa dotąd około trzy tysiące wygnańców. Są to ofiary czeskiego barbarzyństwa z okresu przygotowań do nieudałego plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim.

Dla dzieci tych nieszczęśliwców otworzono w barakach publiczną szkołę, która liczy z górą sześćset dzieci obojga płci. Są to dzieci o wysokiem poczuciu narodowem, które już w swym młodocianym wieku przeszły całe piekło zeszłorocznej zawieruchy plebiscytowej na Śląsku od Ostrawicy po Karwinę. Są to dzieci, które pluły w twarz czeskiej hakacie. Poszły na tułaczkę, wygnane brutalnie przez podłego Czecha, bo nie chciały iść do czeskiej szkoły, bo Ojczyznę Polskę bardzo pokochały i tę Polskę chciały powitać nad Ostrawicą, jako na odwiecznie polskiej ziemi.

Grono nauczycielskie tej szkoły, to przeważnie również wygnańcy z nad Ostrawicy i tak: p. Zarzycki, dyrektor szkoły wydziałowej z Polskiej Ostrawy, p. Zarzycka, kierowniczka szkoły powszechnej z Polskiej Ostrawicy, p. Kowalikówna z Radwanic, p. Woźniakówna i Ptasznikówna z Michałkowic, p. Krukówna z Gruszowa i p. Zagolówna z Kończyc Małych przy Ostrawie.

Nauki religii udziela kapelan barakowy ks. J. Wroński.

W barakach męczą się wygnańcy, na Śląsku, pod zaborem, Czesi rozpędzają wpisy do polskich szkół, rugują polskich robotników, nie dopuszczają polskich pism, rozpędzili redakcyę polskiego pisma robotniczego, a naszej dyplomacyi, zamiast odwrócenia się ze wstrętem od czeskiego rozbójnika — potrzeba dobrych stosunków sąsiedzkich, potrzeba handlu z Czechami, dlatego, by Czesi nie zadławili się swoim przemysłem.

O głupoto!! Czesi tryumfują! — jak tryumfowali od początku w kwestyi cieszyńskiej".

Zgon dwu wybitnych obywateli

miasta Krakowa.

W ubiegłym tygodniu ubyło z grona obywatelstwa krakowskiego dwu wybitnych działaczy, którzy w życiu grodu podwawelskiego do ostatnich chwil brali żywy udział, zajmując się gorąco jego losami, tak na stanowisku członków Rady miejskiej, jak i przy spełnianiu swych zawodowych obowiązków, które pojmowali z godną uznania sumiennością. S. p. były wiceprezydent miasta Krakowa dr. Henryk Szarski i dyrektor Julian Maciołowski, to dwaj z pośród najgorliwszych i najpracowitszych ojców naszego miasta. Pierwszy z nich lat dwadzieścia kilka drugi z górą trzydzieści zasiadali w krakowskiej Radzie miejskiej, nie szczędząc trudów i starań, o ile szło o dobro miasta i współobywateli, a nie szukając przy tem dla samych siebie jakichś korzyści lub zaszczytów. Ceniono też ich i szanowano ogólnie, a zgon ich okrył miasto prawdziwą żałobą i wywołał niekłamany żal w najszerszych sferach krakowskiego obywatelstwa.

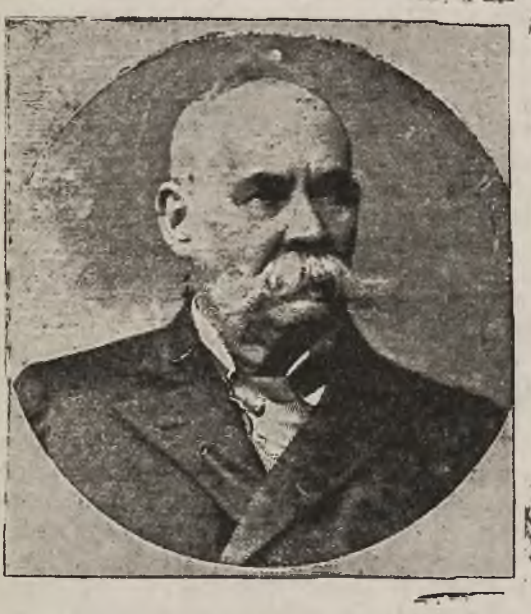
Podobnie jak w życiu publicznem, tak i w życiu prywatnem złożyli obaj dowody szczytnego pojmowania swych obowiązków, a pracując w różnych



Drugi rok na tułaczce: Grono nauczycielskie wraz z dziatwą Szkoły dla uchodźców z Śląska Cieszyńskiego w barakach oświęcimskich.

kierunkach, dążyli przecież do jednego celu, aby miastu i społeczeństwu przynieść jak najwięcej pożytku, nieraz ze szkodą nawet dla swych własnych interesów.

S. p. dr. Henryk Szarski urodzony w Krakowie w roku 1855, tu ukończył gimnazyum św. Anny,



Zgon dwu wybitnych obywateli miasta Krakowa: S. p. Julian Maciołowski, dyrektor szkoły im. św. Jana Kantego.

studya prawnicze odbył na Uniw. wiedeńskim i na Uniw. Jagiellońskim z dyplomem doktora. Praktykę sądową odbył w Krakowie, zaś bankową w Warszawie w Banku Handlowym. Następnie poświęcił się zawodowi kupieckiemu, który pojmował w najszlachetniejszem jego zrozumieniu, a firmę, odziedziczoną po ojcu, doprowadził do takiego stopnia rozkwitu, iż należy ona do pierwszych nie tylko w naszem mieście, ale wogóle w kraju. Czynności zawodowe nie zasklepiły go w czterech ścianach swego domu handlowego, pozwalając na wzięcie udziału w życiu obywatelskiem. W r. 1897 wszedł do Rady miejskiej, która w r. 1907 wybrała go pierwszym wiceprezydentem. Godność tę piastował do r. 1915, z powodu wypadków wojennych złożył ją, pozostając nadal członkiem Rady i biorąc udział w pracach różnych Komisyi i Sekcyi. Jako radca miejski, a przez kilka lat wiceprezydent Krakowa, w dziejach naszej autonomii zapisał się bardzo chlubnie, pracował gorliwie i z całem zaparciem się aż do ostatnich chwil. Równocześnie przez szereg lat był zastępcą dyrektora Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń, pełnił funkcye członka komitetu nadzorczego w filii Banku krajowego, zasiadał jako członek Wielkiego Wydziału Kasy Oszczędności m. Krakowa i Powiatowej Kasy Oszczędności. Pozatem należał do krakowskiej Kongregacyi kupieckiej, w której długie lata piastował godność starszego, był jednym z najczynniejszych członków Izby handlowej, interesował się rozwojem życia kulturalnego i filantropijnego. Miłośnik zabytków starego Krakowa, odnawiając Szarą Kamienicę kierował się przedewszystkiem pietyzmem dla pamiątek i sztuki z pominięciem ekonomicznych korzyści. — Ożeniony w r. 1882 z Heleną z Ciechanowskich wychował córkę i 3 synów, z których średni, Stanisław, wyruszywszy w r. 1914 z pierwszemi oddziałami drużyn Strzeleckich pod komendą Piłsudskiego, w bojach za ukochaną Ojczyznę przepadł bez wieści w r. 1916 w bitwie pod Optową. Niepocieszony po stracie ukochanego syna, podupadł na zdrowiu, a nie przestając się interesować sprawami publicznemi, cofnął się w zacisze domowe, które rozjaśniało mu jedynie dziewięcioro wnucząt. Po sześciotygodniowej chorobie, obfitującej w ciężkie cierpienia, jako wierny syn Kościoła i prawdziwy Sodalis Marianus, umarł, na śmierć zupełnie przygotowany i pojednany z Bogiem.

W ś. p. H. Szarskim traci miasto i społeczeństwo polskie jednego z najpracowitszych i najsumienniejszych obywateli.

W tym samym dniu, co ś. p. Szarski, zmarł w ośmdziesiątym roku życia dyrektor Julian Maciołowski, senior krakowskiego nauczycielstwa. Wytrawny pedagog, oddany całą duszą swemu zawodowi, przez pięćdziesiąt z górą lat swego nauczycielstwa wychował całe szeregi przyszłych obywateli kraju, w których umiał wszczepić zamiłowanie do pracy i poczucia narodowej godności.

W młodych latach, gdy naród z bronią w ręku zerwał się do skruszenia pęt niewoli, pospieszył i Julian Maciołowski w szeregi powstańcze, wziął zaszczytny udział w całej kampanii, dosięgując się stopnia oficerskiego. Jak wysoko cenił sobie to odznaczenie, świadczy fakt, iż po uzyskaniu przez nas samodzielności, pierwszem jego staraniem było zatwierdzenie tego stopnia, co też pomyślny uwieńczył skutek.

Po powrocie z szeregów oddał się z całym zapałem pracy nad wychowaniem młodego pokolenia w duchu narodowym, jakie zaś na tem polu położył zasługi, wie o tem cały Kraków, który w ś. p. Maciołowskim widział wzór pedagoga. Wysoko wykształcony, autor kilku podręczników w zakresie pedagogii, umiał sobie zjednać miłość swych uczniów oraz zaufanie i sympatyę wspólnie z nim pracującego nauczycielstwa. Siły swe poświęcał też poza szkołą niestrudzenie licznym obowiązkom obywatelskim. W Radzie miejskiej zasiadał lat trzydzieści, popierając stale sprawy naszego szkolnictwa i strzegąc interesów zawodu nauczycielskiego. Zorganizował szkoły dla analfabetów, szkołę dla służących i szkoły zawodowe wieczorne. Był też przez czas dłuższy przewodniczącym Wydziału dla uzupełniającej Szkoły przemysłowej.

Dla idei szkolnictwa narodowego i dla wychowania młodzieży, położył ś. p. Maciołowski niespożyte zasługi, z nim schodzi do grobu typ prawdziwego nauczyciela-obywatela, który potrafił zrozumieć całe znaczenie i powagę stanu nauczycielskiego i połączyć dawne zasady pedagogiczne z nowoczesnymi prądami.

Cześć Ich pamięci!

Zjazd rękodzielników i przemysłowców we Lwowie.

W miesiącu czerwcu odbył się we Lwowie Zjazd rękodzielników i przemysłowców z całej Polski przy bardzo licznym udziale uczestników ze wszystkich stron naszego kraju. Przybyli delegaci z Warszawy, Lublina, Krakowa, Rzeszowa, Jarosławia, Stanisławowa i innych miejscowości, przedstawiciele lwowskiego rękodzieła i przemysłu zjawili się też w pokaźnej liczbie. Imieniem miasta Lwowa powitał uczestników Zjazdu prezydent Neumann, życząc pomyślnego przebiegu obrad oraz powzięcia uchwał, które mogłyby wpłynąć korzystnie na dalszy rozwój naszego rękodzieła i przemysłu, by mogły wytrzymać konkurencyę zagranicy zasypującej nas dotąd małowartościowymi wyrobami. Imieniem lwowskiej Izby rękodzielniczej witał kolegów prezes tejże, p. Schirmer.

Zjazd obecny był następstwem fatalnych stosunków wewnętrznych, w których rozwój naszego rodzimego rękodzieła i przemysłu jest bardzo utrudniony, a częstokroć nawet wprost uniemożliwiony. Z głosów referentów wynika jasno, że Rząd polski zbyt mało uwagi zwraca na sprawy rękodzielniczo przemysłowe, a liczne zarządzenia, wydane w ciągu dwu lat samoistnego bytu odbiły się już bardzo ujemnie na naszej krajowej produkcyi, która dzięki im nie może sprostać współzawodnictwu zagranicznemu. Wszelkie czynione w tym kierunku dotąd zabiegi i starania, pozostały bez skutku, sfery decydujące nie doceniają widocznie znaczenia, jakie ma rękodzieło i przemysł, dla rozwoju życia ekonomicznego kraju. A jeśli gdzie, to właśnie w Polsce, powinny one rozwijać się jak najpomyślniej, nie brak nam bowiem wszelakiego rodzaju surowca, który jednak, zamiast uledz przeróbce w kraju, wysyłany bywa za granicę, a niejednokrotnie wraca piekący już potrzeby, wraca stamtąd z powrotem, lecz po cenach kilkadziesiąt razy wyższych. Na nasze rękodzieło i przemysł wpływa to zabójczo, a panoszy jedynie różnego rodzaju pośredników, którzy radzi byliby wywieźć z Polski wszystko, co jakąkolwiek wartość przedstawia, a na czem można zarobić.

Drugą bolączką, którą bardzo dotkliwie odczuwa rękodzieło i przemysł, to ustawowy ośmio godzinny dzień pracy. Polscy rękodzielnicy i przemysłowcy nie zwalczają go w zasadzie, są jednak zdania, że wobec obecnych warunków wyrządza on tylko szkodę, tak samemu rękodziełu i przemysłowi, jak i całemu krajowi. Żądają zatem wprowadzenia przejściowo ustawy o dziesięcio-godzinnym dniu pracy, a to aż do czasu, dopóki nasze stosunki ekonomiczne nie wejdą na normalne tory, a dzięki podniesieniu się naszej wytwórczości przemysłowej nasza waluta nie uzyska należnej jej siły i wartości na rynkach światowych.

Pozatem poruszono wiele żywotnych spraw, mających ścisły związek z normalnym rozwojem naszego rękodzieła i przemysłu, oraz powzięto szereg uchwał, które mają być przedłożone czynnikom miarodajnym, to jest Rządowi i Sejmowi, z stanowczem żądaniem jak najrychlejszego ich uwzględnienia.



Zjazd rękodzielników i przemysłowców we Lwowie: Grupa uczestników podczas obrad.

Stuletnia rocznica założenia szkoły powszechnej w Wołowicach.

Ważne zdarzenia wstrząsają umysłami narodów czy poszczególnych ludzi zależnie od swej istoty i pozostawiają po sobie niezatarte ślady we wspomnieniach. Wydarzenia takie powstają bądź niezależnie od woli naszej, bądź też wywołują je jednostki, obdarzone zasobem inicyatywy. Gdy jednostkami



Stuletnia rocznica założenia szkoły powszechnej w Wołowicach: Budynek szkolny.

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Staroszewskiej.

TOM II.

Hassan ukazał swoje długie zęby, Isaacson wiedział, że zacznie protestować.

— Sam wydam rozkaz, kiedy zechcę odpłynąć. Zejdź do mojej kajuty, na krześle przy łóżku leży polowa luneta; przynieś mi ją...

Hassan zniknął i powrócił z lunetą.

— Dziękuję. To wszystko.

— Możesz odejść.

Hassan powoli odszedł. Nie tylko jego twarz, lecz cała postać wyrażała najgorszy humor. Isaacson podniósł lunetę i spojrzał w górę rzeki, lecz ujrzał tylko coś zamazanego. Widocznie Hassan ją przekręcił. Uczuł się rozgniewanym i zniecierpliwionym; podczas gdy ją nastawiał, dziwił się swej gwałtowności. Lecz natychmiast się uspokoił i z całą uwagą zaczął się przypatrywać.

Szkła były bardzo silne i pomimo, że Isaacson o tem wiedział, zdziwił się pozornej bliskości Lonlii. Mógł ocenić piękność jej linii, rozróżnić barwy, widział powiewające dwie chorągwie, jedną na maszcie, drugą przy sterze, a także zasłony, rozpięte na górnym pokładzie. Zwolna zniżył lunetę. Teraz patrzał wprost na balkon salonu. Był osłonięty markizą, lecz boki miał odkryte. Zobaczył jakąś postać, podobną do lalki, ruszającą się przy poręczy balkonu. Czy to była Mrs. Armine? Czy może chory jego przyjaciel? Patrzał z natężeniem. Oczy zaczęły go boleć. Powieki drgały. Przetarł oczy i podniósłszy lunetę, patrzał znowu.

Tym razem zobaczył małe czółno jakby wyłaniające się z boku Lonlii. Isaacson odłożył lunetę. Czyniąc to, zobaczył bystre oczy Hassana, przypatrujące mu się z dolnego pokładu. Miał ochotę go wyłuc, lecz udał, że nie widzi.

Pomimo, że jego zmysł detektywa powiedział mu, co ten posłaniec przyniesie, jakieś uczucie w nim starało się zaprzeczyć detektywowi. Pragnął, żeby list był takim, jakim wiedział, że nie będzie.

Nareszcie usłyszał plusk wioseł tuż przy Fatmie.

Nie poruszył się, nie spojrzał w tę stronę. Plusk umilkł i gardlane głosy dały się słyszeć. W chwilę później ukazał się Hassan, trzymając list w swych zakrzywionych, ciemnych palcach.

Isaacson wziął list.

— Możesz odejść — rzekł.

Hassan się nie ruszył.

— Zaczekam na...

— Idź precz!

Jeszcze nigdy Isaacson nie odezwał się tak szorstko, tak gwałtownie do podwładnego.

Kiedy Hassan odszedł, gorączkowo otworzył list. Nie był długi i objąwszy go prawie jednym rzutem, musiał przyznać, że detektyw się nie mylił.

„Lonlia" Nil, środa.

„Drogi Doktorze!

Znajduję, że lepiej nie. Kiedy wróciłam, zastałam Nigla nad jednym z opisów śmierci Harwich'a. Prosiłam go, żeby nie czytał i nie rozmyślał o tem, co się odstać nie może. (Dopiero wczoraj otrzymaliśmy dziennik, donoszący o tej śmierci). Lecz w swoim smutku zwraca się biedak do rzeczy, które ten smutek zwiększają. Nie powinnam była go opuszczać. Ale sam nastawał, żebym się przejechała i zwiedziła świątynię, w której jeszcze nie byłam. Wyperswadowałam mu, żeby dał spokój dziennikom i staram się go rozerwać. Gramy w karty, czytam głośno i zabawiam go muzyką. Najważniejszem jest — teraz, kiedy zdrowie zaczyna mu się poprawiać — nie podniecać go w jakikolwiek sposób. A Pan, Drogi Doktorze — proszę się nie gniewać, że to powiem — jest trochę podniecającym. Pan stoi umysłowo tak wysoko, że pociąga umysły innych. Zawsze to uważałam. Pomimo, że pan mu jest tak bardzo miłym, obawiam się, że w obecnej chwili Pańskie towarzystwo mogłoby zmęczyć Nigla. Podnieca się tak łatwo od czasu tego porażenia słonecznego. A zatem proszę być tak dobrym i wyminąć nas bez odwiedzania i czekać na nas w Assnau. Za parę dni będziemy mogli pana przyjąć, a będąc trochę silniejszym, tem więcej się ucieszy Pańskiem towarzystwem i wtedy Pan mógłby jemu być bardzo pożytecznym. Nie jako lekarz — mamy już jednego i nie możemy go porzucić; lekarska etykieta, wie pan! — ale jako przyjaciel. To tak przyjemnie pomyśleć, że Pan będzie w Assnau. Jeżeli Pan jest niespokojnym o swego przyjaciela, będąc w Assnau, może Pan się udać do doktora Baring Hartley, Cataract-Hotel. Uspokoi pana, jak mnie uspokoił. Trzeba tylko zapewnić Niglowi spokój, a wróci do zdrowia. Szczerze oddana

Ruby Armine.

P. S. Proszę zalecić swoim ludziom, żeby się cicho zachowywali, przepływając obok nas. Nigel sypia o rozmaitych porach. Może byłoby lepiej zawrócić na przeciwny brzeg".

Tak, detektyw miał słuszność. Isaacson odczytał list po raz drugi, tym razem wolniej. Pismo było duże, wyraźne, pewne, lecz niektóre wyrazy zdawały się chwiejne. Pomyślał, że to oznacza...

Kilka razy odczytał przypisek. Jeżeli ręka kiedy zadrżała, przy tych ostatnich wyrazach odzyskała zwykłą pewność.

Usłyszał przygłuszone stąpanie bosych stóp.

— Mój panie, nubijczycy czekają, co pan każe powiedzieć ślicznej pani.

Isaacson wstał i spojrzał przez poręcz.

Na dole stała biała feluka z dwoma żeglarzami — pięknymi czarnymi ludźmi, którzy siedzieli przykucnięci, paląc papierosy. U steru czółna modlił się Hanza. Kiedy Isaacson się się przechylił, żeglarze złożyli mu ukłon, lecz Hanza go nie zobaczył, schylił czoło, podniósł się, przykładając ręce do kolan i znowu się skłonił. Przez chwilę Isaacson uważnie mu się przypatrywał.

— Hanza bardzo dobry poganiacz osłów — zawsze się modli.

— Ma się rozumieć, to był głos Hassana. Isaacson odstąpił od poręczy.

— Spytaj się, czy ta pani oczekuje odpowiedzi — rzekł. — Przypuszczam, że nie mówią po angielsku?

— Nie, mój panie.

Zagadał do nich po arabsku, jeden z żeglarzy odpowiedział. Hanza wciąż się modlił.

— Ta pani, mówią — może pan coś napisze.

— Dobrze.

Isaacson zeszedł do kajuty, wziął papier i pióro. Lecz co odpisać? Odczytał znowu list Mrs. Armine. Była żoną Nigla, panią na dahabijeh. Niepodobna było się narzucać z odwiedzinami, ponieważ nie tylko nie zapraszała, lecz wręcz prosiła, żeby nie przychodził. A jednak — czy powiedziała Niglowi, że jego przyjaciel jest w Egipcie? Widocznie nie. Nie pisała o tem. Lecz detektyw był pewien, że zamilczała. Ale żeglarze czekali i nawet ten bronzowy posąg, Hanza, nie mógł wiecznie się modlić.

Isaacson zanurzył pióro w atrament i zaczął pisać.

— To dla pani — rzekł, oddając list Hassanowi.

Podczas gdy Hassan schodził ze schodów, trzymając fałdy swego dżelabich, Isaacson wyszedł na pokład i znów spojrzał przez poręcz. Oczy jego spotkały się z oczami Hanzy. Lecz Hanza mu się nie ukłonił, Isaacson nie był nawet pewny, czy go spostrzegł. Żeglarze rzucili wypalone papierosy i pochylili się nad wiosłami. Czółno pomknęło w złoto. I znowu Isaacson usłyszał zawodzenie, które cichło coraz bardziej, aż umilkło zupełnie. Stał ciągle oparty o poręcz, patrząc na felukę i myślał, że chciałby być na niej i płynąć do swego przyjaciela.

Co uczyni teraz?

Znowu zaczął się przechadzać po pokładzie. Do Assnau nie było bardzo daleko — Dżebel Silsile, Kom Ambos i Assnau. Sto kilkanaście kilometrów. Statki parowe przebywały tę przestrzeń w trzynaście godzin, lecz Fatma, płynąc przeciw wodzie, potrzebowałaby znacznie dłuższego czasu. W Assnau mógłby się zobaczyć z tym Baring Hartley.

Ale ona o tem pisała!

— Jak bardzo nie ufał tej kobiecie!

Niechęć łączyła ich wzajemnie. Wiedział, że tak będzie, kiedy ją spotkał w Londynie. Dzisiaj wiedział, że tak jest. Miał wrażenie, że czyta w niej z nienaturalną jakąś łatwością i pewnością. Ich niechęć była jak szyba przezroczystego szkła, przez którą patrzyli jedno na drugie.

Wziął znowu lunetę i podniósł ją do oczu.

Feluka była już przy Lonlii. Na balkonie zobaczył jakąś postać, był pewien, że to Mrs. Armine oczekuje z niecierpliwością jego odpowiedzi. Postać poruszyła się i znikła. Isaacson odłożył lunetę.

W liście do Mrs. Armine, który w jej chwili czytała, poddał się z grzecznością jej wyrokowi i pisał, że zaczeka do Assnau, żeby ich odwiedzić. Nie wspomniał ani o doktorze Hartley, ani o jej postscriptum. List jego był krótszy od jej listu i raczej obojętny. Pisząc to, zamierzał ją przekonać, że uważa całą tę sprawę za nic nie znaczącą, Ale dodał także przypisek, który brzmiał jak następuje:

„P. S. W Assnau mam nadzieję zawrzeć z Ranią prawdziwą znajomość".

Gdyby kazał teraz Reisowi odwiązać łódź i przepłynąć na zachodni brzeg! Wkrótce byliby na wysokości Lonlii, a trochę później Lonlia znajdowałaby się za nimi, jeszcze trochę i zniknęłaby mu z przed oczu.

A wiedy Bóg wie, kiedyby byli w Assnau! Isaacson był przekonany, że gdyby Fatma popłynęła na południe, Lonlia zostałaby równocześnie skierowana na północ. Był tego tak pewnym, jak gdyby to się już stało.

— Hassan!

Kiedy Hassan się zjawił, Isaacson kazał powiedzieć Reisowi, że pozostaje na tem miejscu całe popołudnie.

— Wracam znowu do Edfu. Prawdopodobnie spędzę kilka godzin w Świątyni.

— Bardzo piękna świątynia.

— Tak. Pójdę sam, piechotą.

W parę minut później wyszedł na brzeg. Udał się do świątyni i długo w niej bawił. Kiedy wrócił na Fatmę wieczór się zbliżał. Lonlia ciągle pozostawała bez ruchu.

— Popłyniemy teraz? — zapytał Hassan.

Isaacson wstrząsnął głową.

— Wyruszamy wieczorem?

— Powiem kiedy, niepotrzebnie się pytasz.

Dragoman działał Isaacsonowi strasznie na nerwy. Zamyślał nawet po sowitem wynagrodzeniu wysadzić go na ląd. Pokusa była silną lecz ją zwalczył, może Hassan okaże się pożytecznym.

— Co mogę uczynić dla mojego pana?

— Nic tylko powstrzymać swój język.

— Hassan odszedł obrażony.

Patrząc na Hassana Isaacson powziął pewien zamiar i porzucił go. Pomyślał, żeby wysłać dragomana z listem na Lonlię. Możnaby łatwo znaleźć jakiś pozór do tego. Hassan mógłby się widzieć z Niglem — i bez wątpienia widziałby się z nim, gdyby mu tak kazał. Ale spotkałby się także z Mrs. Armine. I, jeżeli instykt Isaacsona nie poszedł na manowce — ona lepiej od niego porozumiałaby się z Hassanem. Twarz dragomana nosiła na sobie piętno zdrady, a Mrs. Armine potrafiłaby lepiej od Isaacsona posłużyć się zdradą.

Ocenia w pełni jej zdolności.

W Świątyni Edfu powziął postanowienie.

Zupełnie sam, w mroku doskonale pięknego budynku i w absolutnej ciszy odzyskał spokój i mógł usłyszeć głos swego instynktu. Gdyby nie spędził tych kilku godzin w Edfu, możeby tego głosu nie zrozumiał i za nim nie poszedł, teraz jednak postanowił mu być posłusznym.

Widział wyniosły maszt Lonlii odrzynający się na złotem tle zachodu. Widział go na tle liliowem, zielonkawem, blado czerwonem po zachodzie. I widział go, czarnego jak atrament w bladem świetle zapadającej nocy.

Potem już go nie widział.

Żeglarze zaczęli pieśń o Nilu siedząc w koło miski, która przechodziła z rąk do rąk.

Zjadł obiad pospiesznie.

Hassan przyszedł z zapytaniem czy nie może wyjść na brzeg, gdyż chciałby odwiedzić znajomych w pobliskiej wiosce. Isaacson pozwolił. Za chwilę wysoka postać przeszła kładkę, i znikła.

Żeglarze śpiewali dalej poruszając w takt głowami.

Isaacson zaczekał kilka minut i poszedł za przykładem Hassana. Przeszedł kładkę, wdrapał się na brzeg i stanął na równinie ciągnącej się nad rzeką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

47 I.

Często bardzo, w piękne, pogodne noce, wędrowni śpiewacy zjawiali się na ulicy i przy akompaniamencie gitary dźwięcznymi głosami śpiewali popularne piosnki neapolitańskie.

Ranieri chętnie słuchał ich melodyjnego śpiewu, drżąc nerwowo na dźwięk namiętnych, miłością gorącą przepojonych słów tych pieśni.

Bolesne wspomnienie utraconego szczęścia występowało wówczas silniej w jego duszy, to fatalne wspomnienie, które podstępnie zatruwało jego młode życie, wysączając z niego kropla po kropli resztę sił duchowych i żywotnych.

I w ten wieczór właśnie tak ciepły i rozkoszny, usposabiający do marzeń rozkosznych — Ranieri czuł, jak tęsknota bezbrzeżna ogarnia go całą swoją potęgą i pobudza aż do szału, przywołując żywe wspomnienia utraconej miłości. Z poza szklanych drzwi balkonu, widział Ranieri grupę przechodniów, otaczających wieczornych śpiewaków — i w pewnej chwili, jak gdyby popchnięty jakąś niewidzialną siłą, pochylił się niżej, aby lepiej dojrzeć, co się dzieje na ulicy. Po chwili jednak znudzony, wsparł głowę o poręcz fotelu i zatopił się w rozpaczliwych swoich rozmyślaniach. Lecz znowu, po upływie kilku minut uczuł, że coś przyciąga go a balkon. Wychylił się więc raz jeszcze, zaniepokojony nagle i wzruszony i tym razem ujrzał wpatrzone w niego gorączkowo oczy jakiejś kobiety.

Była to kobieta z ludu, ubrana w ciemne suknie. Głowę jej okrywała lekka, czarna chustka, którą przytrzymywała ręką u szyi.

Lekki okrzyk zdumienia wybiegł z piersi młodego człowieka. W jednej chwili poznał tę twarz wyrazistą.

Była to Róża, służąca Racheli Kabib, ta sama, która zniknęła owej fatalnej nocy wraz ze swoją młodą panią. I kobieta ta wpatrywała się w niego uważnie i tak przenikliwie, że widocznem było, iż go poznać musiała, pomimo zmroku, zalegającego ulicę i zmian, jakie zajść musiały w rysach Ranieri, od tego czasu, kiedy go widziała po raz ostatni.

Ranieri skoczył na balkon i bez względu na chłód nocny, tak szkodliwy dla jego zagrożonych płuc, przechylił się przez poręcz i zawołał donośnym głosem:

— Różo! Różo!

— Jestem panie! — odpowiedziała kobieta, podchodząc pod sam balkon, a dobre jej, wierne oczy, rozbłysły nagłą radością.

— Chodź na górę!

— Gdzie?

— Do mojego mieszkania.

— Jaki numer pokoju?

— Czternasty! Powiesz portyerowi, że cię sam wzywałem.

— Biegnę, panie!

Dojrzał, jak okrążyła hotel szybkim krokiem i weszła w główną bramę. Chciał zamknąć drzwi od balkonu i wyjść parę kroków na jej spotkanie, ale kiedy postąpił parę kroków, uczuł nagle silny brak oddechu i osłabienie. Wzruszenie było za silne. Oparł się więc o stół i czekał. Drzwi otworzyły się po chwili i Róża weszła. Ta Róża, która była powiernicą ich miłości, wierna, oddana ich sprawie, taka zawsze pełna współczucia, gotowa na każde poświęcenie.

Kiedy weszła i ujrzała go tak wynędzniałym, tak bladym i wychudzonym, rzuciła się na krzesło i zakrywając twarz rękami, wybuchnęła płaczem.

— No i co, Różo? Dlaczego ty płaczesz? Powiedz? — zapytał słabym głosem Ranieri.

— Oh! Ekscelencyo! Ekscelencyo! — wyjkała biedna stara — zobaczyć pana w takim stanie... po tylu miesiącach...

— Nie umarłem jeszcze, Różo — szepnął Ranieri, uśmiechając się blado, odpychając siłą woli od siebie pytanie, jakie mu paliło usta.

— Oh! panie! panie! Powinien pan żyć sto lat...

— To za długo, Różo — odparł z lekką ironią w głosie. — Ale nie płacz już... słyszysz... nikt przecie nie umarł...

Mówiąc to, wpatrzył się w nią w tak przenikliwy sposób, że stara zrozumiała jego myśli i spuściła wzrok ku ziemi.

— Nie... nikt nie umarł jeszcze — odparła powoli, ocierając twarz chustką... — ale...

— Ale co? co?

— Ale... prawie...

— Prawie? Co ty chcesz powiedzieć? — zapytał Ranieri, pochylając się ku niej żywo.

— A tak! — westchnęła ciężko Róża.

— Czy Rachela chora... umierająca może...— zapytał Ranieri ostrym głosem — mów Różo, rozkazuję ci mówić!

— Nie, panie, ona nie jest chora... Zdaje mi się, że ona nie jest chora...

— Zdaje ci się? Więc nie jesteś pewna... Nie widziałaś jej więc?...

— Oh! nie widziałam jej już bardzo dawno — wyznała z żalem.

— A więc? Dlaczego mówisz, że ona prawie jest już umarłą. Co wiesz o tem?

— Mówię, że jest prawie umarłą, bo ona zamknięta jest w klasztorze, Ekscelencyo i to w bardzo surowym klasztorze, gdzie dostęp do niej jest utrudniony...

— Ah! a więc przeczucia moje nie omyliły mnie! — zawołał Ranieri. — Ale gdzie ona jest, Różo? Gdzie? powiedz?

Służąca spojrzała na niego z wahaniem, nie wiedząc, czy mówić dalej.

— Różo! przez litość, błagam cię, powiedz mi, gdzie ona jest!

— Czy powinnam to powiedzieć panu! Pan tak źle wobec niej postąpił! Oszukał ją! zdradził! — wymówiła z żalem stara.

— Oh! Różo! gdybyś ty wszystko wiedziała! Gdybyś ty wiedziała, w jaką okropną zasadzkę wpadłem najniewinniej zupełnie!

Pan!?

— Tak, ja, Różo! Ani na minutę jedną nie przestałem kochać Racheli — nie zgrzeszyłem ani myślą przeciwko niej — zawołał Ranieri, nie panując już nad sobą.

— Naprawdę panie! — naprawdę!

— Przysięgam ci, Różo!

— Oh! Boże! jakież to straszne nieszczęście! — załkała rozpaczliwie stara.

— Powiedz mi, powiedz, gdzie ona jest obecnie!?

— Niechajże Bóg dopomoże panu — wymówiła z powagą Róża. — Ona jest tu.

— Tu, w Neapolu?

— Tak.

— Ah! Sama Opatrzność mnie tu przywiodła — zawołał Ranieri z wybuchem. — Tu! w Neapolu! W jakim klasztorze, Różo?

— W klasztorze Siostry Urszuli Benincasa, między pogrzebanemi za życia — szepnęła cicho stara służąca, nie mogąc stłumić wzruszenia.

— Boże mój! — zawołał Ranieri! — Między pogrzebanemi żywcem! Co za okropna rzecz! I dlaczegoż ona poszła się zamknąć w tym strasznym klasztorze?

— Chciała zostać zakonnicą i dlatego wybrała klasztor o najostrzejszej klauzuli.

— Jak dawno tam przebywa?

— Od pięciu czy sześciu miesięcy. Kilkakrotnie musiała zmieniać miejsce pobytu.

— Dlaczego?

— Poszukiwano jej...

— Poszukiwano... kto?

— Kto? a któżby, jak nie ten człowiek nikczemny — wybuchnęła z nienawiścią Róża. — Ten prześladowca jej! Sprawca ohydny wszystkich jej nieszczęść i łez!

— Markus Henner?

— Pan zna jego nazwisko?

— Tak, znam je, Różo. Znam to imię przeklęte. I dowiedziałem się o niem w cudowny sposób, bo Rachela nigdy go przedemną zdradzić nie chciała!

— A więc człowiek ten prześladował ją aż za murami klasztoru, w końcu musiała się schronić tutaj — bo tutaj, panie, to już grób, to już koniec wszystkiego!

— Ale ty ją zawsze widujesz, Różo? jakże się ona czuje? Co robi?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie widuję jej wcale.

— Nie widujesz jej! Nie chodzisz do niej? — zdziwił się boleśnie Ranieri.

— Ona sama nie chce się ze mną widzieć. Odtrąca mnie! — zawołała, wybuchając rozpaczliwem łkaniem.

— Jakto? — zdumiał się Ranieri — ona ciebie widzieć nie chce! Ciebie, Róża! Powiernicę swoją i opiekunkę! To niemożliwe!

— A jednak tak jest, Ekscelencyo.

— Dlaczego?

— Powiedziała mi, kiedy ją widziałam po raz ostatni, że nie chce mieć żadnej styczności ze światem.

— Ależ ty, Różo, byłaś jedyną istotą, która jej pozostała!

— Tak, to prawda! — westchnęła boleśnie stara. — Ale właśnie mnie widzieć więcej nie chciała. Sama mi o tem powiedziała.

— Dlaczego ona cię widzieć nie chciała, Różo? — badał dalej niespokojnie Ranieri.

— Bo widok mój przypominał jej ból największy, jaki przeżyła w życiu i osobę, która się okazała dla niej najbardziej okrutną i bez serca — odpowiedziała służąca.

— Ty?

— Ja, panie.

— O kim ona myślała, mówiąc ci to, Różo? — spytał smutnie Ranieri.

— O tobie panie! o twojej zdradzie — szepnęła Róża, spuszczając oczy.

Ból straszny odmalował się na pobladłej twarzy młodego człowieka.

— Ona mnie nienawidzi... prawda? ona mnie nienawidzi? — szepnął drżącym głosem.

— Nie wiem, czy ona pana nienawidzi... nie wiem — odpowiedziała cicho Róża.

— Nie wiesz?

— Nie mówiła mi nigdy o tem.

— Jakto?

— Nie rozmawiała nigdy o panu...

— Nigdy?

— Nigdy!

— Oh! mój Boże! — jęknął rozpaczliwie Ranieri. — A ty, Różo? ty także nie mówiłaś nigdy o mnie? — zapytał błagalnie.

— Nigdy, panie. Zabroniła mi tego surowo. Nie chciała nawet, abym imię pana wymówiła kiedy przy niej.

— Boże mój! Boże! — powtórzył Ranieri rozdzierającym głosem i ukrył nagłym ruchem twarz w rękach, aby nie zdradzić łez, które zabłysły w jego oczach.

Bolesne milczenie zaległo pokój.

— Często bardzo chciałam zacząć mówić o panu — odezwała się znowu Róża — ale ona wtedy spojrzeniem nakazywała mi milczenie, a w spojrzeniu jej było tyle rozpaczy i bólu, że nie śmiałam rozdrażniać jej więcej.

— Miała słuszność — tak... ona miała słuszność — szepnął Ranieri, jak gdyby odpowiadał własnym swoim myślom.

— Ah! panie! to było straszne... nikt wyobrazić sobie nie może tej nocy okropnej... tej nocy, kiedy uciekałyśmy obydwie z domu...

— Oh! Różo! I dla mnie ta noc była najstraszniejszą z tych, które przeżyłem!

— A tam... u pana... czekałyśmy długo, bardzo długo... i nareszcie nadeszła ta okropna wiadomość, że pan jest ranny... że pan został śmiertelnie ugodzony... że pan kona już... i gdzie? — w domu swojej kochanki... tej, dla której pan ten cios śmiertelny otrzymał.

— Oh! jaka podłość! jaka podłość!

— Oh, tak! ohydna podłość, zaprawdę! Niech pan pomyśli o tej biednej dziewczynie, która uciekła z domu ojca, która pozostała bez opieki i schronienia i która nawet przyjść po ratunek do pana nie mogła... bo pan leżał nieprzytomny w domu tej kobiety...

— O Rachelo, moja biedna, ukochana Rachelo! — zawołał Ranieri nieprzytomny z rozpaczy.

Zamilkli znowu na długą chwilę.

Po jakimś czasie Ranieri podniósł głowę i spojrzał na służącą rozpalonemi oczami.

— Różo, a gdzie udałyście się potem? — zapytał głuchym głosem.

— Do wikaryusza papieskiego.

— On to wziął was pod swoją opiekę?

— Tak.

— Rachela nie poczyniła żadnych kroków, aby mieć jakie wiadomości odemnie?

— Żadnych. Ona widziała w tem zdarzeniu rękę Opatrzności i poddała się tej wyższej woli, wyrzekając się wszystkiego.

— Jak długo, mówisz, przebywa ona tutaj?

— Sześć, siedm miesięcy.

— W zamknięciu?

— Tak, w zamknięciu zupełnem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

K. CZEREMOSZ.

KRWAWE DZIEDZICTWO

POWIEŚĆ.

Od czasu tych odwiedzin znikł spokój i zadowolenie Celiny. Myśl jej uparcie wracała do tragicznej katastrofy i do sprawcy, którego, jak się jej zdawało poznała. I on miałby ujść bezkarnie, otrzymać upragniony majątek, a z nim razem szacunek i uwielbienie świata? Chybaby sprawiedliwości nie było! Przecież zdradzi się kiedyś z czemś, zdemaskuje się chociaż na chwilę, aby jednak uzyskać to, trzeba go mieć na oku, pilnować, badać.

Złożyła wraz z mężem szereg niezbędnych wizyt, a najwięcej tam, gdzie spodziewała się zasiać pana Władysława. Urządzała wycieczki, pikniki, przyjmowała u siebie, a wszystko to czyniła gorączkowo, niespokojnie. W towarzystwie Helenki zjawiał się zawsze pan Władysław, więc też najwięcej przebywała z Helenką z nią jeździła, u niej najczęściej bywała. Z początku pan Michał cieszył się z ożywienia żony, z jej chęci do zabaw, gdy jednak spostrzegł, że został usunięty na drugi plan, że coraz więcej jest zaniedbywany, począł się niepokoić, gniewać, robić wymówki. Wszystko przyjmowała w pokorze, uznawała swoją winę, ale nie poprawiała się wcale.

Oto i teraz wracała od Helenki, gdzie cały wieczór spędziła śledząc pilnie pana Władysława. Godzina dziesiąta, zapomniała zupełnie, że mąż prosił, aby o ósmej była w domu. Z biciem serca wysiadła z dorożki. — Ach, gdybym mogła opowiedzieć mu wszystko, możeby mnie usprawiedliwił — myślała idąc po schodach.

W stołowym pokoju siedział pan Michał czytając gazetę, a na stole stały resztki kolacyi. Podniósł oczy na wchodzącą i nie mówiąc ani słowa zagłębił się znowu w czytaniu.

Celina w białej, lekko u szyi wyciętej sukience i w półkrótkich rękawach, wyglądała tak uroczo, że cały siłą woli zmuszał się, aby nie patrzeć na nią.

— Jesteś już po herbacie jak widzę — zaczęła siadając naprzeciw męża.

— Czy chciałaś abym czekał na ciebie — odparł sarkastycznie — dziesiąta godzina, jeżeli się nie mylę...

— Tak jest dziesiąta, zasiedziałam się niechcący — rzekła spuszczając głowę.

— Niechcący — mówił nie podnosząc oczu od gazety — zdaje się, że masz pamięć i rozum, a spojrzeć na zegarek nie wiele kosztuje.

— Niezawodnie, ale o to właśnie chodzi, że zapominam o zegarku.

— Przyjemnie słyszeć dla mnie, że w pierwszem lepszem towarzystwie zapominasz o istnieniu męża — zawołał z goryczą rzucając gazetę.

— Nie gniewaj się — mówiła wstając i podchodząc do niego — ach, gdybyś wiedział — westchnęła kładąc mu rękę na ramieniu. Nie odwracał się, chciała ją cofnąć, lecz przytrzymał swoją dłonią.

— Cóż mam wiedzieć, powiedz — zapytał topiąc w niej wzrok.

— Że mi najlepiej w domu, że tylko przymuszona oddalam się z niego — mówiła wzruszona patrząc mu prosto w oczy.

— Jakże mogę w to uwierzyć — szepnął, a serce topniało mu im dłużej na nią spoglądał.

Skłoniła głowę na jego ramię, wiedziała, że go przejednała, lecz cóżby dała za to, żeby ją przymusił do szczerości, żeby ją natchnął zaufaniem.

* *

Wszyscy już wiedzieli, że Helenka jest po słowie z panem Władysławem, a dzisiaj miały być zaręczyny, na które Celina wraz mężem otrzymała zaproszenie.

Siedziała przed toaletą z rozpuszczonemi włosami i z zamyśleniem patrzała w lustro. Nie widziała w niem, ani swojej twarzy, ani pysznych włosów sięgających prawie do ziemi, tylko pana Władysława z tryumfem wyciągającego ręce po wielki posag. Nic nie postąpiła na drodze swoich poszukiwań, nic nie uzyskała śledzeniem i pilnowaniem.

Wzięła grzebień do ręki i zaczęła się czesać.

— Zmęczona jestem i zniechęcona — szepnęła — ale nabiorę nowego zapału. gdy go zobaczę — dodała podniecając się — zdaje mi się, że teraz właśnie coś podchwycę i zawsze na próżno.

Westchnęła! w koło niej roztaczał się dostatek, a nawet zbytek. Każda rzecz, której się dotknęła, była ładna i artystycznie wyrobiona. Wysokie lustro w którem odbijała się cała jej postać, puszysty dywan, miękkie kanapki, srebrne graciki na tualecie, szyldkretowe grzebienie, jakże to wszystko cieszyło ją z początku. Teraz obojętna, smutna, jednego tylko pragnęła, ujęcia zbrodniarza.

Włożyła niebieską powłóczystą suknię, dawniej zachwycał by ją ciężki jedwab, wytworny krój, podnoszący jej piękne kształty i smukłą postać, teraz spojrzawszy do lustra ruszyła ramionami.

— Na co to wszystko — szepnęła — na co te stroje i to bywanie, nie lepiej to siedzieć w domu i żyć dla męża? Gonię niepochwytną marę, a jakiś głos wewnętrzny nie pozwala mi zaniechać tych poszukiwań. Odkąd poznałam w nim mordercę nie mam spokoju, a nuż ożeni się zanim coś odkryję? Wtedy nie dosięgnę go, razem z majątkiem otoczy go powaga i szacunek ludzki, a kto wie czy z czasem nie będzie uchodził za wzór cnotliwego męża.

Zaśmiała się szyderczo! Stała ciągle przed lustrem, z którego spoglądały ku niej wielkie oczy ze smutnym wyrazem i blada, ściągła twarzyczka.

— Tracę cerę — mówiła wpatrując się w swoje odbicie — te walki wewnętrzne źle wpływają na moją urodę, ach czemu opętała mnie ta myśl jedna!

Pan Michał wszedł do pokoju.

— Jesteś już gotowa?

— Tak jest — odwróciła się do niego.

Moja pani jakaś blada dzisiaj — zapytał wpatrując się w nią troskliwie.

— I ja to widzę — odparła z przymuszonym uśmiechem — jeżeli ożeniłeś się ze mną dla urody, to kto wie, czy się nie oszukałeś, wkrótce może zgaśnie...

— Dziecko z ciebie — zawołał śmiejąc się — całe życie będziesz ładna i coraz ładniejsza, jesteś rasowa kobieta, a takie nie więdną — no daj buziaka i zabierajmy się, bo już czas.

Gdy przyjechali do państwa Sławuckich, zastali już prawie wszystkich zaproszonych. Celina nie widząc Helenki w salonie wymknęła się do jej pokoju, lecz tutaj zastała pana Władysława rozpartego w fotelu.

— Gdzie Helenka — zapytała odwracając się od niego z niechęcią.

— Odwołano ją w jakiejś kwestyi gospodarskiej, choć biedactwo zna się tyle na tem, co kura na pieprzu. Cóż się pani tak boczy? zapytał przypatrując jej się — ślicznie pani dziś wygląda, jak to ładna toaleta podnosi urodę, zawsze byłaś pani przystojna, ale teraz fiu, fiu...

— Nie lubię tego tonu i nie wiem rzeczywiście co pana do niego upoważnia — zawołała Celina z gniewem.

— Wspólność położenia, łaskawa pani! — odparł śmiejąc się — i ja i pani przebijaliśmy się przez świat, i ja i pani dobiliśmy wreszcie do portu.

— Przybicie do portu, znaczy osiągnięcie majątku, czy tak?—zapytała suchym tonem.

— Jeszcze nie zupełnie, ale przecież raz jestem oficyalnym narzeczonym.

— Zdaje mi się, że więcej chodzi panu o majątek, jak o narzeczoną — zauważyła szyderczo.

— To się pani myli — zawołał z żywością — majątek jest dla mnie celem to prawda, lecz milszy mi on z rąk tego dziecka, jak od kogokolwiek na świecie.

— Więc kochasz ją pan? — zapytała patrząc mu w oczy.

— Kocham, o ile zdolnym jestem do tego! niewiem naprawdę co sprawia, że z panią jestem taki szczery...

— Bo nie masz pan żadnego interesu w zatajaniu prawdy przedemną — odparła obojętnie.

— Aha oto i Helenka — zawołał pan Władysław chwytając obie ręce dziewczęcia — no i jakże tam z gospodarstwem?

— Patrz Cesiu, co to za despota — śmiała się Helenka — od razu chwyta za ręce i nie da się nawet z tobą przywitać, oj będę ja musiała dobrze trzymać tego pana po ślubie, nieprawdaż?

— Każda żona powinna dobrze trzymać męża odparła Celina z przekonaniem.

— Patrzcie jaka mądra, a sama zaledwie od pół roku zamężna — zawołała Helenka.

— A ja wam powiem moje panie, że tylko miłość trzyma, nic więcej...

— O czasem i majątek — rzekła Celina z pogardliwym uśmiechem.

— Wstydź się Cesiu, jak można w tak młodym wieku być taką materyalistką — zawoła Helenka z oburzeniem — ona tak zawsze — dodała zwracając się do narzeczonego — majątek i majątek, ale mnie nie zarazisz tą niewiarą.

— Może po sobie samej sądzi tak pani Celina — odparł ze złem spojrzeniem pan Władysław.

— No chodźmy do salonu — mówiła Helenka — wszystko to żarty, a państwo gotowiście się pokłócić.

W salonie było kilkanaście osób sami bliżej znajomi. Przy kolacyi pito zdrowie młodych, a chociaż ojciec panny nie zdawał się zbyt zadowolonym, za to córka promieniała. Celina siedziała naprzeciw młodej pary, widziała rozkochany wzrok Helenki, i na pół czułe, a na pół szydercze spojrzenia pana Władysława. Zdawało jej się, że czyta na jego twarzy: jestem u celu! mam majątek, a z nim zaszczyty i szacunek ludzki. Nagle zbladł jak ściana rzuciwszy okiem do przyległo pokoju. Celina spojrzała także i zobaczyła w drugim pokoju, pod samą lampą prawie stojącego człowieka! Niski przysadkowaty, o twarzy obrzękłej, z czerwonym krawatem i spinkami niby to brylantowem. W gwarnej rozmowie nikt nie spostrzegł przerażenia Celiny i jej ust na pół otwartych, na których zastygł okrzyk przestrachu. Wszystko to trwało jedno mgnienie oka, drzwi zatrzaśnięto! Obejrzała się, naokoło rozmawiano, śmiano się, tak, że całe to widzenie wydałoby jej się halucynacyą, gdyby nie puste krzesło obok Helenki, i cicha, a gwałtowna rozmowa w przyległym pokoju, oddalająca się coraz bardziej w głąb domu. Po kilku minutach wrócił pan Władysław, a siadając obok Helenki, miał ten sam co zwykle wyraz spokoju i pewności siebie.

— Któż to odwołał cię tak nagle — zapytał przez stół doktór Sławucki — widziałem jak służący szepnął ci coś do ucha.

— Ach to te interesa, nigdy człowiek nie ma spokoju — wymówił pan Władysław mieniąc się na twarzy.

— Zapewne jakieś nagłe wezwanie do chorego — zauważył ktoś z gości.

— Tak, coś podobnego, ale odmówiłem — rzekł pan Władysław zmieszany wzrokiem doktora Sławuckiego uporczywie weń wlepionym

— Mam więc ich obu — myślała Celina siedząc przy kolacyi — teraz zdadzą mi rachunek z życia mego ojca. Zdemaskuję go, w proch zetrę! Zachciewa ci się majątku, szczęścia? Moja ręka dosięże cię w chwili, gdy myślisz, że jesteś u celu.

* *

Nazajutrz siedziała Celina w gabinecie doktora Sławuckiego. Nie była to godzina konsultacyi! Sławny chirurg, zatopiony w fotelu, opierał głowę na ręku z wyrazem zmęczenia.

— Utrzymujesz pani, że tu idzie o szczęście mego dziecka? — mówił w dalszym ciągu — a więc dobrze, wysłucham wszystkiego, może zażegnam ten niepokój, który nie opuszcza mnie, odkąd samowolnie rozporządziła swoją przyszłością.

— Czy pan nie chory — zapytała Celina, patrząc ze współczuciem na jego pobladłą twarz.

— Nie więcej jak zwykle! dziedziczna choroba rozwija się coraz bardziej. I moja biedna Helenka jest nią zagrożona, dlatego tak pragnę jej szczęścia, bo może wtedy nie dosięże jej to przekleństwo.

— W takim razie lękam się, aby moje opowiadanie nie zaszkodziło panu — szepnęła Celina, nie mogąc ukryć przerażenia jakiem ją ta wiadomość przejęła.

Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa

„Wsi spokojna wsi wesoła,
Ciebie wielbię pod niebiosa
Rano spędzam muchy z czoła
Wieczór spędzam muchy z nosa.
Ze swobodą niezrównaną
Dni i noce mile cieką
Mleko kwaśne pijam rano,
Wieczór pijam kwaśne mleko“...

Tak śpiewał swojego czasu natchniony poeta, opiewając przyjemności wiejskiego życia, a choć można było w jego słowach wyczuć skargę, że owego mleka kwaśnego było zanadto wiele, a zamiast polędwicy obiecywała mu stale gospodyni jajecznicę, lub jajka na miękko albo twardo, widocznie nie było tak źle, skoro pobyt na wsi nie wpłynął bynajmniej ujemnie na jego natchnienie.

Tak samo wyobrażał sobie kronikarz „sielskie-anielskie“ usposobienie Weroniki, otrzymawszy od niej pierwszy list z pod Koziego Ogona. Wysłała go, jak pisze, nazajutrz po przybyciu na miejsce i zainstalowaniu się w posiadłości pana Jana Paskudy, doszedł on do Krakowa po tygodniu, choć w powietrznej linii jest między tą miejscowością a Krakowem niespełna dziesięć mil. Widocznie jednak poczta wychodzi z założenia, że skoro opłata od listów jest tak wysoka, powinny one odpowiednio długo podróżować, nim dojdą na miejsce przeznaczenia. W liście tym nie ma Weronika poprostu słów na skreślenie swego zachwytu i radości.

— Teraz dopiero czuję, że odżyłam — pisze między innemi — Co za okolica, jaka pogoda, jak miły i poczciwy ten nasz ludek!... Śmiać mi się chce, gdy sobie wspomnę co słyszałam w Krakowie o nieuczynności i zdzierstwie, jakiego się dopuszczają wobec letników wieśniacy. To wszystko bajka, to niecne oszczerstwo na nasz poczciwy lud wiejski. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe, gdym u mojej gospodyni bawiła celem ułożenia się o wysokość czynszu za mieszkanie, pani Paskudzina przyjęła mnie nader serdecznie. Małżonek jej jako mąż zaufania stronnictwa, jest stale w rozjazdach, lub bawi we Warszawie, gospodarstwem zajmuje się ona sama. Poczęstowała nas mlekiem, ale nie takiem, jakie się w Krakowie kupuje i wyborną bułką domowej roboty, a gdy chciałam jej za to zapłacić, aby biednych ludzi nie narażać na stratę, odpowiedziała z niedbałym gestem: „Schowajcie sobie swoje pieniądze, mamy ich dosyć i nawet nie wiemy co z nimi robić. Głupstwo ta odrobina mleka, jutro się doleje kapkę wody więcej niż zwykle, i nie będzie nijakiej straty. Mamy pełną skrzynię marek i czekamy ino na tę parcelacyę, którą Witos obiecał. Mój chciałby wtedy kupić kawał księżego pola, który graniczy z naszym gruntem, ale ja wolałabym, abyśmy nabyli dwór, bo ju chcę być dziedziczką“. Ogromnie jej było do twarzy z tem uniesieniem, z jakiem wypowiedziała te słowa, czuć było, że przemawia jej serce i dusza... Za mieszkanie zażądała początkowo siedmdziesiąt tysięcy za sezon, twierdząc, że trafiał się jej już lokator, który tyle dawał, ale się nie zgodziła, gdyż się jej nie podobał. Ostatecznie zdecydowała się poczciwa na pięćdziesiąt tysięcy, które jej wręczyłam. Wieczorem zaprosiłam ją na herbatę, przybyła z córką, ale obie były widocznie niezbyt zadowolone z tego, że nie było araku, a zamiast cukru sacharyna. Dziś rano byłyśmy w X... Kuracyuszów mnóstwo, nikogo jednak ze znajomych nie udało się nam spotkać. Aż się cieszę na samą myśl, jak miło przyjdzie nam tu spędzić chwile i jak to dodatnie wpłynie na nasze zdrowie...

Kronikarzowi, gdy to czytał, spadł kamień z serca i zaczął żałować, że i on także nie dał się namówić na wyjazd. Niestety, w dwa dni potem nadszedł drugi list, ale już w zupełnie innym tonie. Z charakteru pisma wnosić można było, że Weronika, kreśląc go, była ogromnie podrażniona, treść potwierdziła przypuszczenie.

Oto, co pisała:

— Dłużej tu już nie wytrzymam!... To o pomstę do nieba wołające, jak się ten lud wiejski obchodzi z nami, którzy mu zwozimy pieniądze i chcemy z nim żyć prawdziwie po bratersku. Wyobraź sobie, wczoraj chciałam po południu wypocząć w ogródku, znajdującym się przed domem gospodarzy, Paskudzina zabroniła mi, utrzymując, że zapłaciłam tylko za używanie mieszkania, a nie ogrodu, a trzeba Ci wiedzieć, że okna naszego pokoju wychodzą na podwórze, na chlewiki i gnojówkę, nie mamy więc ani żadnego widoku, ani powietrza. Za litr mleka żąda pięćdziesiąt marek, a za jajko piętnaście, gdym jej zaś zwróciła uwagę, że w Krakowie nawet u przekupek dostaje się taniej te artykuły, odpowiedziała z widoczną irytacyą: „To se pani jedź do Krakowa z powrotem... A któż tu panią zapraszał?... My się tu bez wos obejdziemy. Nie będzie jedna, znajdzie się druga, co jeszcze w rękę pocałuje, jeżeli się jej wynajmie mieszkanie i coś sprzeda. Przyjeżdżacie tu, aby nas obżerać... Kto chce żreć, niech płaci, a kto niema pieniędzy niech nie wozi swego grzesznego cielska po świeżem powietrzu, ale siedzi w Krakowie“... Zamknęła nam też studnię i każe osobno dopłacać po pięć marek za konewkę wody, twierdząc, że jeszcze robi dobrodziejstwo, bo jeśli jej doleje do mleka, więcej za nią dostanie...

Po przeczytaniu tego listu żal się kronikarzowi zrobiło, może nie tyle Weroniki, ile owych stu tysięcy, których zdobycie tyle go trudów i bieganiny kosztowało, w duszy jednak cieszył się z tego, gdyż podobne przyjemności, połączone z letnim pobytem, może raz na zawsze, a w każdym razie na długo wybiją jej z głowy myśli i ochotę do urządzania wakacyjnych wycieczek. Dziękował też Panu Bogu, że został w Krakowie, choć znając dobrze Weronikę przypuszczał, że tak źle, jak ona to przedstawia, chyba nie jest. Wrażliwa kobieta maluje sobie wszystko w daleko czarniejszych kolorach, niż one są rzeczywiście i nie może się pogodzić z drobnemi przykrościami, na jakie musi się być przecież w czasie pobytu na wsi narażonym.

Ale widocznie Weronika nie przejaskrawiła się tym razem, choć bardzo to lubi, gdyż w dzień później nadszedł lakoniczny telegram: „Wracamy w sobotę. Czekaj na dworcu“.

— Masz babo radość!... — mruknął do siebie i westchnął gorąco, jak gdyby żałując, że nic z jego wakacyjnego wypoczynku, który miał także dodatnio wpłynąć na jego zdrowie.

Ponieważ od soboty oddzielały już tylko trzy dni, zabrał się do uporządkowania mieszkania w myśl ostatniego rozkazu małżonki, rzuconego mu z okna wagonu na odjezdnem i z poddaniem się swemu garbatemu losowi oczekiwał na powrót kochanej rodziny, łudząc się nadzieją w duszy, że może jakiś cudowny wypadek wpłynie na zmianę postanowienia i zatrzyma się na miejscu. Niestety, o cudy dziś trudno, w sobotę, jak zapowiedziała wróciła też Weronika pod dach rodzinny i na łono małżonka, strapionego nie tyle jej długiem oczekiwaniem, ile raczej jej zbyt rychłym powrotem.

Pierwszy tydzień po przybyciu spędziła Weronika w łóżku, musiało się wezwać lekarza, aby ratował jej zdrowie, ten zapisał brom i krople laurowe na uspokojenie nerwów, a w księdze domowych rozchodów zanotowano nowy wydatek w kwocie siedm tysięcy ośmset marek pod tytułem: „dalsza restauracya zdrowia Weroniki“.

I doszedł do przekonania kronikarz, że połowica jest mu „droższą“ znowu o siedm tysięcy ośmset marek, ale w duszy dodał, że, jeśliby tak dalej iść miało w tem tempie, nie pozostanie mu nic innego, jak „słodka śmierć“, to jest powieszenie się z powodu nadmiaru rozkoszy małżeńskich na przedwojennym sznurku z cukru.

Gdy Weronika powróciła już na tyle do zdrowia, że mogła się należycie wygadać, przez dwanaście godzin z rzędu opowiadała o kłopotach i zmartwieniach, jakie na wsi stały się jej udziałem, a rzecz prosta, że wszystko skrupiło się na koźle ofiarnym, którym był małżonek.

— Tyś temu winien! — mówiła — Jako mężczyzna powinieneś był odradzić...

— W jakiż sposób? — brzmiała odpowiedź — Brałem wprawdzie udział w radzie familijnej lecz bez prawa zabierania głosu... Pretensye miej do swojej cioci i do pani Gadulskiej i Bajczarskiej... Niechaj one zwrócą ci zdrowie, mnie zaś pieniądze, które dyabli wzięli bez żadnego pożytku...

Przekonała się zatem Weronika, że bynajmniej nie przesadzili ci, którzy pomawiali nasz lud wiejski o chciwość, bezwzględność, sobkowstwo i nieufność wobec surdutowców. W dawniejszych czasach wieśniak odnosił się zawsze nieżyczliwie do dziedzica, co można było wytłómaczyć wspomnieniem nie tak dawnej pańszczyzny. Nieżyczliwość ta była jednak najczęściej nie uzasadniona, a wszelkie starania ze strony dworu o jej zwalczenie rozbijały się stale o upór chłopski, posądzający „panów“, że chcą znowu zaprowadzić dawne stosunki. Wszelkie dobrodziejstwa ze strony dworu przyjmowała wieś bardzo chętnie, uważając, że jej się to należy, jeśli ten jednak o coś podobnego do niej zaapelował, mógł być z góry pewny odmowy. Nauczyciela wiejskiego uważał chłop także za szkodnika społecznego, gdyż dzięki jemu musiał w starostwie płacić kary za nieposyłanie dzieci do szkoły, wychodził zaś z zasady, iż większa korzyść z tego, jeśli syn lub córka pasie gęsi, niż kilka godzin dziennie bezużytecznie spędzonych w szkole. Jedną jedyną osobą cieszącą się na wsi jakiem takiem zaufaniem był ksiądz, ale znaleźli się już tacy, który się o to postarali, aby je utracił, gdyż leżało to w ich interesie, aby chłopa zupełnie odosobnić, aby tem łatwiej mógł się dostać w ich ręce.

O sympatyi, jaką wieśniak czuł do karczmarza Mośka lub Szmula, lepiej nie wspominać. Byli oni jego powiernikami, przyjaciółmi, doradcami, „wygodzili“ mu chętnie na dobry procent, w rezultacie jednak Mosiek i Szmul obejmowali w posiadanie ich gospodarstwa, a Wojtek lub Kuba godzili się potem do nich na parobków.

W surdutowcu widział zawsze wieśniak swojego wroga, nigdy mu nie dowierzał i posądzał go zawsze o chęć szkodzenia sobie, a dziwną losu koleją sam zarzucił swój dawny strój włościański tak malowniczy i sympatyczny, przebierając się w kupioną w mieście tandetę i zmieniając się tem samem także na surdutowca.

Te stosunki, jakie panowały na wsi, pogorszyły się jeszcze bardziej dzięki wojnie i jej następstwom. W chłopa wmówiono, że przyszłość do niego należy, a on to tak zrozumiał, iż wszyscy muszą tak tańczyć, jak on im zagra. Polityka ludowa opiera się dziś na zasadzie schlebiania chłopu i nawoływania go, aby pilnie strzegł swych interesów, z zasady pomija się jednak milczeniem, że powinien też gorliwie spełniać swe obywatelskie obowiązki. A on, posłuszny swym doradcom, czyni, jak mu kazano. I dlatego to mimowoli przychodzą na myśl słowa poety: „rękę karaj, nie ślepy miecz“. Ta ręka, która tym mieczem kieruje jak gdyby starała się o to, aby u nas nie było nigdy ładu ni zgody i widocznie nie zdaje sobie sprawy, że samochcąc godzi nim w serce własnego narodu. Lud nasz nie jest na tyle zły, ile mało uświadomiony, zbyt więc ufa fałszywym prorokom, którzy, dobrze go znając, z łatwością znajdują drogę do niego i do jego przekonań.

Powiedziano ongi o Polsce: „pawiem narodów byłaś i papugą“, a autor tych słów ani się może spodziewał, że tak szerokie znajdą w obecnych czasach zastosowanie. Papuga naśladuje głosy innych i paple bez ustanku, co jednak wielkiej szkody nikomu nie wyrządza, paw natomiast drze się w niebogłosy, żre dużo, korzyści zeń żadnej niema, pióra jego, jak twierdzą starsi, sprowadzają nieszczęście i chorobę na tych, którzy je posiadają. U nas, jak na nieszczęście, po wojnie „zapawiło się“, tak, aż oczy bolą od tej patrokaczizny, a pożytek z niej żaden. Każdy „paw“ chodzi jak nadęty, drze się głośno, ale myśli tylko o sobie. Ani mu te w głowie, czy ogół odniesie z tego jaki pożytek, grunt, aby jemu było dobrze i lśniły na nim piękne piórka.

Słabą illustracyą tego, jak lud dziś się z niczem nie liczy, a chciałby, aby do niego wszystko się dostosowało, jest wypadek napozór drobny, jaki się wydarzył w tych czasach w Wieliczce. Przed niespełna dwoma tygodniami przybył tam z Krakowa ks. biskup Nowak celem dokonania poświęcenia szkoły i ochronki. Powozowi ks. Biskupa towarzyszyła z dworca kolejowego do miasta banderya konna, złożona z okolicznych włościan, druga miała go z powrotem na dworzec odprowadzić. Gdy ks. Biskup zwrócił się do członków banderyi z podziękowaniem za przyjemność jaką mu sprawili i udzielił im błogosławieństwa, z szeregu odezwały się głosy: „A gdzie na piwo?...“ Pytanie to pozostało na razie bez odpowiedzi, po chwili przysłał ks. Biskup „spragnionym“ przez jednego z księży tysiąc marek, które skwapliwie objęli zaraz w posiadanie. Widząc, że się tak udało, zaczęli coraz głośniej wyrażać swe niezadowolenie, że „to mało“, a słowa ich doszły nawet do uszu ks. Biskupa bawiącego w budynku. Zrzekł się też tego „zaszczytu“, aby banderya miała go z powrotem na dworzec odprowadzać. Fakt ten wywołał w Wieliczce ogólne oburzenie ludności, poczciwi kmiotkowie nie stracili przecież dobrej miny, nic sobie z tego nie robiąc, jak gdyby chcieli dać do poznania, że Polska jest chłopską a przyszłość do nich należy.

Niechaj kto jednak nie posądzi kronikarza, że odmawia ludowi praw, jakie mu się słusznie należą. Przeciwnie, radby on był bardzo, aby włościanie w całej pełni korzystali z praw obywatelskich, jednakże nie w myśl dotychczas głoszonych zasad polityki ludowej, odgraniczającej chłopa polskiego jakimś chińskim murem od reszty społeczeństwa, lecz na zasadzie uczciwej i zgodnej współpracy. Prowodyrowie ruchu ludowego niech nie zapominają o tem, że i pod surdutem bije równie gorąco polskie serce jak i pod siermięgą, boć przecież większość ich także nosi surduty. O ile polityka ludowa wejdzie na te tory, że nasz wieśniak zrozumie nareszcie, że tylko wspólnemi siłami możemy sobie zapewnić lepszą przyszłość, i pozbędzie się tej nieuzasadnionej nieufności wobec surdutowców, jakiej na każdym kroku daje dowody, kronikarz będzie pierwszym z tych, którzy ten program przyjmą za swój i to nie żądając w zamian dla siebie ani mandatu poselskiego, ani żadnej synekury przy wielkim ołtarzu warszawskim.

powodują pobudki szlachetne, powstają czyny wzniosłe, które oddziaływują na ogół kształcąco i przez szereg lat nie zacierają się w pamięci. Do takich czynów należą obchody rocznic narodowych czy też miejscowych, podczas których cofamy się myślą wstecz do odległych zdarzeń, przechodząc kolejno następstwa tychże aż do obecnej doby. Urządzanie obchodów ma szczególnie wielkie znaczenie wychowawcze na wsi, wśród warstw pracujących, których umysł zajęty troską dnia powszechnego przy takiej sposobności wznosi się ponad codzienny poziom.

Dlatego z uznaniem podnieść należy uroczysty obchód 100 letniej rocznicy założenia szkoły w Wołowicach w krakowskiem powiecie, urządzony staraniem kierownika tamtejszej szkoły pana Jana Stachnika. Odrestaurowawszy budynek szkolny, zawiązał komitet z miejscowych włościan i zaprosił na dzień 29 maja b. r. przedstawicieli Rady Szkolnej Powiatowej, wszystkich żyjących kierowników i nauczycieli, tudzież byłych uczniów tutejszej szkoły, z których wielu zajmuje obecnie wybitne stanowiska w naszem społeczeństwie, parafialne duchowieństwo i okoliczne nauczycielstwo, jakoteż przedstawicieli obszaru dworskiego i gmin, tudzież miejscową ochotniczą Straż pożarną. Prócz zaproszonych przybyły tysiączne rzesze z tamtejszej jak i z okolicznych wsi, a nawet sąsiedniego powiatu na tę rzadką uroczystość.

Rozpoczęto ją nabożeństwem w miejscowej kaplicy, które odprawił były uczeń tamtejszej szkoły kapelan w. p. ks. Stanisław Meus z Krakowa; podczas nabożeństwa śpiewała dziatwa szkolna i przygrywała orkiestra dęta. Po nabożeństwie, okolicznościowem, pięknem kazaniu, które wypowiedział parafialny wikary ks. Franciszek Kapusta, uformował się olbrzymi pochód, który wyruszył do szkoły. Tam powitał zebranych kierownik szkoły, p. Jan Stachnik, poczem dziatwa szkolna pod kierunkiem grona nauczycielskiego odśpiewała wcale udatnie kilka pieśni i oddeklamowała okolicznościowe wiersze. Po wzniosłem przemówieniu inspektora szkolnego powiatowego p. Józefa Lorenza, byłych uczniów, oraz przedstawicieli gmin, odegrały dzieci patryotyczny obrazek sceniczny. Na zakończenie uroczystości odbył się wspólny obiad dla zamiejscowych gości, którzy w liczbie około sześćdziesięciu osób zasiedli do stołu. Podczas obiadu wznoszono toasty między innymi na cześć Naczelnika Państwa, na wniosek ks. Meusa urządzono składkę na powstańców górnośląskich, która przyniosła 2180 Mkp. Wszyscy goście dziękowali w serdecznych słowach gospodarzom i nauczycielstwu za urządzenie tak miłej uroczystości, którą zakończyła wspólna fotografia. Część gości została na wieczornem przedstawieniu odegranem przez miejscowe grono nauczycielskie.

Uczestnik.



Stuletnia rocznica założenia szkoły powszechnej w Wołowicach. Uczestnicy uroczystości jubileuszowej.



Stuletnia rocznica założenia szkoły powszechnej w Wołowicach: Grono nauczycielskie z kierownikiem oraz dziatwa biorąca udział w przedstawieniu podczas uroczystości jubileuszowej.

Małżeństwo na dworze duńskim.

Król Chrystyan IX. duński był podobnie jak władca Czarnogóry Mikołaj, nazywany żartobliwie „teściem Europy“, obu ich bowiem pobłogosławiły niebiosa bardzo licznem potomstwem. Dzięki temu weszli oni w związki rodzinne z większością dworów europejskich. Zwlaszcza król duński był „teściem“ bardzo poważnym, córki jego bowiem były małżonkami samodzierżcy Rosyi Aleksandra III. i króla Anglii Edwarda VII.

W obecnych czasach, gdy cały świat się demokratyzuje i republikanizuje, na związki małżeńskie w rodzinach panujących mało się zwraca uwagi. Ostatnie małżeństwo zawarte pomiędzy księciem Renè Bourbon-Parma, bratem ekscesarzowej austryackiej Zyty i księżniczką Małgorzatą, córką księcia Waldemara duńskiego i księżnej Maryi Orleańskiej, obudziło natomiast ogólniejsze zainteresowanie, nie było bowiem następstwem jakichś kombinacyi politycznych, lecz jedynie miłość obojga młodych doprowadziła do jego skojarzenia. Widocznie zatem i tutaj stosunki zaczynają się zmieniać, a przy zadzierzganiu węzłów rodzinnych uważa się więcej na uczucie, niż na wymogi polityki.

Nowożeniec, ks. René, jest młodzieńcem dwudziestosiedmioletnim, byłym oficerem armii austryackiej, ks. Małgorzata przebywała w czasie wojny w Londynie, jest bardzo wykształconą, muzykalną, z zamiłowaniem oddaje się sportowi, w Danii cieszy się ogromną sympatyą całego społeczeństwa. Młodzi ludzie spotkali się po raz pierwszy w domu księcia Jerzego greckiego Saint Cloud we Francyi, tu się poznali i pokochali.

Ceremonia zaślubin odbyła się w dniu 10 czerwca w Kopenhadze na zamku Bernsdorf. W licznym orszaku gości weselnych widziano z pomiędzy rodzin, spokrewnionych z dworem duńskim i dworem Bourbonów, między innymi i carowę wdowę, żonę Aleksandra III., ks. Jerzego greckiego z żoną Maryą Bonaparte, reprezentantów rodzin Orleanów, Bourbonów i Bonapartych.

Automobilowi weselnemu młodej pary towarzył korowód cyklistów i cyklistek, dając w ten sposób wyraz sympatyi dla panny młodej i przyczyniając się do uświetnienia uroczystości rodzinnej w domu królewskim, z którym ludność duńską wiążą wiekowe bardzo serdeczne nici.



Małżeństwo na dworze duńskim: Automobil weselny ks. Renè Bourbon-Parma i ks. Małgorzaty duńskiej w otoczeniu korowodu kolarzy.

Nawrócony.

Niemiecki polip wziął sobie za zadanie zdusić świat cały i już zdawało się, że jego niecne zabiegi uwieńczy pomyślny skutek, że panowanie jego obejmie obie półkule. W polityce swojej zewnętrznej dążył do zagrabienia coraz to dalszych obszarów, wewnętrzna miała za zadanie zgermanizowanie wszystkich narodów, które nieszczęśliwym zbiegiem losu dostały się pod panowanie pruskiej pikelhauby. Bezwzględnie tępiono w zarodku każdy objaw budzącego się życia narodowego, germanizowano przy użyciu wszelkich dostępnych środków nie wyłączając kościoła i szkoły.



Nawrócony: Jakób Stelmach, były marynarz niemiecki, raniony w obronie praw polskości Górnego Śląska.
Fot. Maryan Fuks, Warszawa.

I część narodu polskiego, podległa pruskiemu berłu, odczuła dobrze na swej własnej skórze ich germanizacyjne zabiegi. Górny Śląsk, Wielkopolska Pomorze, Prusy Królewskie, to smutne karty z dziejów polskiej martyrologii. Systematyczna praca wynarodowienia i wywłaszczenia odniosła przecież tylko częściowy i to bardzo nikły skutek. Większość potrafiła się oprzeć germanizatorskim zakusom, uległy im tylko charaktery słabsze. Spotykało się też „Niemców" z nazwiskami o brzmieniu polskiem, nie brakło ich też i między wojującą hakatą, a byli oni dla niej tem pożądańsi, że mogli łatwiej udając Polaków wkraść się w zaufanie zwłaszcza mniej inteligentnej ludności i siać między nią niezdrowe ziarno.

Ale i między tymi obałamuconymi znalazło się wielu, u których poczucie narodowe nie wygasło w zupełności. Lecz tlało gdzieś w głębi serca, jak słaba iskierka, przysypana grubą warstwą popiołu, czekając tylko na sposobność, by silnym i jasnym buchnąć płomieniem. A o sposobność tę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, postarali się sami Niemcy. Ich bezwzględność i barbarzyństwo, skierowane przeciw wszystkiemu, co polskie, oburzyło na nich nawet uczciwiej myślących z ich własnego grona, tembardziej zaś musiało wpłynąć na tych „sztucznie zrobionych Niemców," którzy nie mogli pozostać ślepi i głusi na katusze i jęki swych matek i ojców, sióstr i braci. I wtedy to ta tlejąca słabo w głębi serca iskierka wybuchała płomieniem, dany osobnik zrywał z dotychczasowym kierunkiem myślenia i spieszył tam dokąd go serce wołało, to jest na pomoc swoim.

Typem takiego nawróconego „Niemca," jest górnoślązak, Jakób Stelmach, były niemiecki marynarz. Uważał się za Niemca, językiem polskim nie władał zupełnie, na znak swej prawomyślności dał sobie nawet na piersiach wytatuować orła pruskiego, gdy jednak doszła go wieść o krzywdach i prześladowaniach których ofiarą padają jego współbracia, pospieszył na Górny Śląsk i zaciągnął się w szeregi powstańcze. Tutaj walczył przeciw Niemcom prawdziwie jak lew, nie cofając się przed żadnem niebezpieczeństwem. Raniony w bok dostał się do polskiego szpitala, skąd pochodzi fotografia nawróconego „hakatysty".



Niepokoje w Małej Azyi Artylerya polowa Kemalistów.

Niepokoje w Małej Azyi.

Jeden z polityków europejskich nazwał swojego czasu Turcyę „chorym człowiekiem nad Bosforem" i bynajmniej się nie pomylił w tem określeniu z chorym bowiem ma otoczenie wiele kłopotów, jest on stale przedmiotem jego troski i zabiegów. Sprawa turecka była też zawsze dla polityki europejskiej powodem najrozmaitszych nieporozumień wszystkie starania o uzdrowienie „chorego człowieka" pozostały bez skutku a i dziś, po ukończeniu wojny światowej, na której Turcya wyszła bardzo fatalnie, sprawa turecka jest powodem wielu zgryzot dla tych, którzy wzięli na siebie zadanie uporządkowania stosunków światowych w imię sprawiedliwości.

Pokonana Turcya została wykreśloną z rzędu państw europejskich i *de facto* przeniesioną do Azyi, pozostawienie bowiem jej Konstantynopola, aby zbytnio nie podrażnić świata muzułmańskiego, jest tylko pozorne, gdyż dostał on się właściwie w ręce mocarstw koalicyjnych i obsadzony został przez ich wojska. Anglia dążąca do tego, aby wszystkie ważniejsze cieśniny były w jej ręku i zapewniły jej królowanie na morzu, nie tak łatwo wypuści z rąk to co w nie dostała. Pozatem Grecya w nagrodę za swą neutralność w czasie wojny uzyskała na niekorzyść Turków w Europie jak i w Małej Azyi daleko idące koncesye, z któremi nie mogą się pogodzić tureccy nacyonaliści, dzierżący obecnie ster rządów w swoim ręku.

Następstwem realizowania przez Grecyę przyznanych jej korzyści była reakcya ze strony Turcyi, co doprowadziło do wybuchu zbrojnych starć, których widownią stała się Mała Azya. Walka na tym obszarze rozpętała się na dobre, a z obu stron prowadzono ją z zaciekłością. Rządy mocarstw koalicyjnych przeliczyły się widocznie, uważając „chorego człowieka" za skazanego już ostatecznie na śmierć i rozporządzając wedle swej własnej woli jego spuścizną. Podniósł on się ze swego łoża boleści, aby się upomnieć o swe prawa, gdyż Turcya nie wyrzekła się bynajmniej nadziei utrzymania się na swem dotychczasowem mocarstwowem stanowisku i ani myśli dać się zepchnąć do rzędu azyatyckich państewek.

Europejska dyplomacya i tym razem zatem nie miała szczęścia w pomyślnem, jak się jej wydawało, rozwiązaniu sprawy tureckiej. Zamiast pokoju na bliskim Wschodzie, doprowadziła do nowego wrzenia, a to bynajmniej nie leży w jej interesie. Choć na razie walczy ze sobą tylko Grecya i Turcya, bardzo łatwo stać się może zarzewiem ogólnego ruchu muzułmańskiego, z którym zwłaszcza Anglia i Francya muszą się liczyć bardzo poważnie.

Anglia i Francya były za pokojowem załatwieniem sporu grecko-tureckiego, widocznie jednak zbyt mało doń przywiązywały wagę. Znane są warunki, jakie zawarł Bekir Sami bej podpisane w Londynie za zgodą Brianda, który zastrzegł sobie ewakuacyę Cylicyi pod znanemi gwarancyami i wpływ ekonomiczny w Azyi Mniejszej. Należało się spodziewać, że umowa ta stanie się preludyum do ogólnej pacyfikacyi tej części Wschodu. Ale Grecy chcąc zrealizować swoje aspiracye, wypowiedzieli wojnę Kemalistom. Ofenzywa ich nie przyniosła sukcesu jakiego się spodziewali. Wywołali tylko dziki odwet nacyonalizmu tureckiego. Parlament Angory rozwiązał się, a Bekir Sami bej musiał uciekać. Nowy rząd składa się z ultranacyonalistów. Grecy gdy im się nie udały pierwsze operacye wojenne przystąpili do nowej ofenzywy, która została odpartą. Król Konstantyn wyjechał, aby stanąć na czele swych wojsk. Przybył do Smyrny 12. czerwca b. r. Ponownie podjęte operacye wojenne rozpoczęły się zbombardowaniem kilku miejscowości nad morzem Marmora. Według oświadczenia Mustafy Kemala baszy nacyonaliści tureccy rozporządzają 280 tysiącami ludzi. Siły greckie wynoszą 220 tysięcy.



Opieka nad inwalidami: Uczestnicy „Kursu dla sekretarzy gminnych" urządzonego przez wadowicką Okr. Eksp. Sek. Op. M. S. W. z kierownikiem Sekcyi p. W. Drewniakiem (X) gronem nauczycielskiem, oraz przybyłymi na popis przedstawicielami władz miejscowych.

Opieka nad inwalidami.

(Do illustracyi na stronie 10.).

Nasze czynniki przedewszystkiem do tego powołane, zatem w pierwszym rzędzie sama wojskowość, dokładają wszelkich starań, aby żołnierzom inwalidom umożebnić znalezienie sobie na czas powojenny zajęcia, odpowiadającego ich uzdolnieniom umysłowym i fizycznym, by nie byli ciężarem dla społeczeństwa. Żołnierzowi, który mężnie stawał w obronie granic Rzeczypospolitej i koniecznością wyrwany został z normalnego toku swych dotychczasowych zajęć, należy się to w zupełności, aby zajęto się jego losem na przyszłość i nie skazywano go na łaskę i niełaskę dobroczynności publicznej, zazwyczaj więcej mówiącej niż robiącej. A po wojnie, celem usunięcia wszystkiego tego złego, które było jej następstwem, potrzeba nam więcej pracujących jednostek, aby organizm państwowy i społeczny mógł stanąć na silnych podstawach. W szeregach żołnierzy inwalidów znajduje się zaś bardzo obfity materyał, który, przy stosunkowo niewielkim nakładzie pracy, można wyzyskać na korzyść ogółu. Należy tylko baczyć, aby umiejętnie dobierano kierunek pracy, a nie zmuszać ich do podjęcia takiej, która nie odpowiada ich kwalifikacyom.

Organem ministerstwa spraw wojskowych, mającym się zająć powojenną dolą żołnierza inwalidy, jest Sekcya Opieki, której ekspozytury, rozrzucone po całym kraju, prowadzą ewidencyę żołnierzy inwalidów, wyszukują dla nich zajęcie i starają się o należyte przygotowanie ich do ich pełnienia. Urządza się zatem rozmaitego rodzaju kursy przygotowawcze, mające zapewnić inwalidom spokojny, a uczciwie zapracowany kawałek chleba na stare lata.

Do rzędu takich kursów należał założony przez wadowicką Okręgową Ekspozyturę Sekcyi Opieki M. S. W. „Kurs dla sekretarzy gminnych“.

W kursie tym wzięło udział dwudziestu dwu frekwentantów.

Ukończyło kurs 10 z postępem bardzo dobrym, 9 dobrym, 2 dostatecznym, jednego nie klasyfikowano. Tak kierownictwo kursu w osobie szefa Ekspozytury p. Wojciecha Drewniaka, jak też i grono nauczycielskie, dołożyło wszelkich starań, aby frekwentanci wyszli przygotowani zupełnie do przyszłego zawodu, rozumiejąc, iż budowę, a względnie uzdrowienie Państwa trzeba zacząć od najmniejszej komórki. Dlatego też popis wypadł nadspodziewanie. Inwalidzi odpowiadali na zadawane im pytania z całem zrozumieniem rzeczy i pełną znajomością materyału, objętego programem nauki. Rzecz tylko dziwna, że na kurs ten tak mała stosunkowo liczba się zgłosiła, podczas gdy w setkach naszych gmin brak wyszkolonych sekretarzy.

Następny kurs, trzeci z rzędu, rozpoczął się z początkiem czerwca b. r.

Pożegnanie dowódcy warsztatów wojskowych przez pracowników.

I na skromnem stanowisku dowódcy wojskowego Zakładu umundurowania można oddać armii znaczne usługi i zyskać sobie ogólne uznanie.

Sprawa zaopatrzenia naszej armii w najniezbędniejsze artykuły jest na najlepszej drodze do rozwoju. Po większej części wojskowość ujęła ją w swe własne ręce, a prowadząc w swym własnym zarządzie, chroni się w ten sposób przed niesumiennym wyzyskiem spekulantów i lichwiarzy, jakich nie brakło nigdy między dostawcami. W szeregach znajduje się też bardzo wielu zawodowców, których uzdolnienie może być w ten sposób należycie wyzyskane. Jako żołnierze nie mogą oni pracować dla



Niepokoje w Małej Azyi: Mustafa Kemal basza w otoczeniu swego jeneralnego sztabu na dworcu kolejowym w Eskicheir.

ogółu, praca ich zatem skierowaną została ku zaspojeniu potrzeb armii. Przy każdem zatem dowództwie powstały Zakłady umundurowania, które zaopatrują armię. Pod kierunkiem fachowców, a dozorem wojskowości rozwijają się one bardzo pomyślnie, dając wyroby uczciwie sporządzone i przyczyniając się w ten sposób do zmniejszenia wydatków na ten cel idących rocznie w miliardy.

Kierownictwo takim Zakładem i połączonymi z nim warsztatami nie jest rzeczą bynajmniej łatwą. Na dowódcy ciąży obowiązek sumiennego przestrzegania, aby nie marnowano materyału i czasu, musi ponadto przy odpowiedniej energii być też i wyrozumiałym przełożonym, aby w ten sposób zyskać sobie zaufanie i sympatyę pracowników i zachęcić ich do tem wydatniejszej pracy. Połączenie tych zalet daje rękojmię, że taki kierownik odpowie godnie ciężkim, a dość niewdzięcznym zadaniom, jakie nań włożono.

Mając takiego przełożonego, pracują też podwładni daleko chętniej i energiczniej, odnoszą się doń z uznaniem, sumienność jego wpływa na nich dodatnio, starają się też iść w jego ślady, a gdy przyjdzie chwila rozstania przy przeniesiu go na inne stanowisko, żegnają go z żalem.

Podobne pożegnanie odbyło się w ubiegłym tygodniu we Lwowie z okazyi ustąpienia z zajmowanego dotąd stanowiska kap. Jana Daracia, dow. Wojsk. Okręg. Zakładu umundurowania.

Żegnano go z żalem, a illustracya, którą w niniejszym numerze podajemy przedstawia uczestników pożegnania go przez personal warsztatów szewskich przy Zakładzie umundurowania przy ul. św. Marcina l. 30. W akcie pożegnania wzięli gremialnie udział wszyscy pracownicy warsztatu wraz z komendantem popor. Zygmuntem Mojsowiczem, kierownikiem warsztatu, Waleryanem Harnym i majstrem M. Barańskim.

Kącik humorystyczny.

Ciężki zawód.

— Czem się pan trudni?

— Czem? Podwójną buchalteryą, pojedynczą pensyą i potrójną pracą.

Bogata ciotka.

Kuzyn (z entuzyazmem): Ach ciociu, raz musisz Neapol ujrzeć!

— Tak, tak... a potem umrzeć.

Podczas pożaru.

— Jakaż to szalona odwaga ze strony tego kelnera — mówił pan X. — który rzucił się w płomieniem pewnej palącej się restauracyi, aby nieść pomoc nieszczęśliwym.

— Ależ to nie odwaga, tylko ktoś z wewnątrz zawołał: „płacić!“

Zaspany.

Żona budzi rano swojego męża radcę magistratu, którego zamiast w łóżku, ujrzała leżącego na podłodze. Poprzedniego dnia było przyjęcie u radcy X. z okazyi imienin, mąż, wróciwszy do domu położył się obok żony.

— Powiedz mi Jasiu — pyta żona — tyś wypadł z łóżka, czy ty tego nie zauważyłeś?

— Upadek, to ja słyszałem — odpowiada zaspany — ale nie miałem pojęcia, że to ja właśnie spadłem.



Pożegnanie dowódcy warsztatów wojskowych: Ustępujący dowódca kap. Jan Darać w otoczeczeniu pracowników wojskowego warsztatu szewskiego.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył S. Kalczyński, Jordanów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwę znanej miejscowości pod Krakowem.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Znany barwik, 3. Obchód ludowy w Krakowie, 4. Duchowny jednego z wyznań, 5. Miejscowość nad Bałtykiem, 6. Litera grecka, 7. Samogłoska.

Okienko.

Ułożył I. Turek, Wieliczka.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	a
g		g		i
i	ł	ł	ł	ł
s		s		t
t	u	w	w	w

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Polsce, 2. Część stroju kapłańskiego, 3. Egzotyczne drzewo

Kwadrat magiczny.

Ułożył X. Y., Tarnobrzeg.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a,	a,	a,	a,
a,	k,	k,	l,
m,	o,	o,	r,
r,	r,	t,	t.

Znaczenie wyrazów: 1. Popularny obecnie śpiew patryotyczny, 2. Jeden z kalifów, 3. Minerał, 4. Statek biblijny.

REBUS:



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) M. Bałuckiego „Pan burmistrz z Pipidówki" (powieść); 2) Kalendarz familijny na rok 1921.

Rozwiązanie zagadek z Nru 22.

Trójkąt magiczny: 1. Wiviani, 2. Ignacy, Verne, 4. Imam, 5. Abo, 6. Ni, 7. I.

Grzebieniówka: Arya, u, gama, u, Soła, t, mila, e, eyna, n, yard.

Tajemniczy napis: Czem chata bogata, tem rada.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: W. Teodorowicz Warszawa, J. Martynowicz Sandomierz, M. Mahr Łódź, J. Jabłoński Lublin, J. Bielawski Rzeszów, M. Lisowski Stanisławów, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Mańkowska Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń J. Kalinowski Poznań, S. Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, E. Gngulski Jędrzejów, K. Wilczyński N. Sącz, J. Cześnikiewicz Krakow, Z. Stolarski Poznań, K. Zieliński Zalesie, M. Ostrowska Lwów, S. Sadowski Warszawa, S. Zajączkowski Rzeszów, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Zombek Lwów. K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała, W. Śmieszek Lublin, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, U. Kokoszyńska Przemyśl, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Komperdowa Lwów, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Wilczyński, N. Sącz (powieść); 2) M. Mahr Łódź (kalendarz familijny). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.